№ 26 Warszawa, dnia 16 (28) Czerwca 1879 roku.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu złr 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI
w literaturze i społeczności naszéj.

(Dalszy ciąg).

W Wilnie był to jeszcze sam projekt w zarodku; najprzód panował Kraszewski nad sobą samym; jak się odbywał ten proces rozwoju pisarskiego wystawił w Szarskim. Ten wyszedłszy zaledwo z uniwersytetu, już tak samo jak nasz autor, pisał wiersze, powieści, układał dramata, brał się nawet do pisania dziejów. Duch Szarskiego tak był poetycznym, twórczym w obrazy, że „zimny i zaschły kronikarz wywoływał przed nim całą epokę; z ponizanych jak paciorki na sznurku faktów z martwych kilku wyrazów, w umyśle jego tworzyły się obrazy żywota pełne. A gdy po długiem czytaniu głos podniósł o treści księgi, nie poznać jéj było w zmianie, jakiéj przechodząc przez duszę jego uległa. Stara to i wielka prawda, że każdy w miarę siebie wyczyta na książki karcie: dla jednego, jest ona obrazem barw i światłości pełnym, dla innych pómieszanych gruzów stosem. Stanisław czytając tworzył.“ Tak się utworzyły u Kraszewskiego Ostatnie lata Zygmunta III, kościół Ś-to Michalski, Księżniczka Słucka, Halszka i t. p. Jakież wrażenie robił w mieście ten znakomity młodzieniec, jak patrzono nań w towarzystwach? „Reszta gości z podziwieniem jakiemś i wstrętem oglądała tego intruza (na weselu Bazylewicza), którego zawsze miała za dziwadło, a znalazła bardzo pospolitym człowiekiem, nie objawiającym żadnéj pretensyi, nie nadstawiającym się żadnem dziwactwem i przybraną ekscentrycznością.“ Gdy powrócił do domu, na wieś, było jeszcze gorzéj: „Nikt nie zażądał go w sąsiedztwie, nikt ręki mu nie podał, a przybycie znanego już trochę po świecie pisarza, nie obudziwszy nawet ciekawości, napędziło tylko strachu. Każdemu się zdawało, że ten jastrząb porwie go i przybije do jakiejś karty jak do pręgierza, uciekano od niego w kościele, spoglądając czy nie goni w miejscach publicznych, w miasteczku, widział chodzące za sobą oczy, ale w nich strach tylko i wstręt łatwo było odgadnąć. Zresztą stare pojęcia o literatach, literaturze i życiu poetów, odstręczyły także od człowieka, który wśród żywéj i czynnéj społeczności wydawał się czemś wyjątkowem ledwie nie pół szaleńcem.“ Któż z piszących nie doświadczył tego, kiedyś na sobie samym? Na prowincyi piszący był istotą tak dziwną jak pleziosaurus, albo megalotherium! Słyszano tylko o tem, że po stolicach są tacy ludzie co książki całe piszą. Zresztą samo pojęcie o takich ludziach bardzo było mętne u wiejskiéj szlachty: wyrazy: człowiek rozumny, uczony, mędrzec, człowiek co pisze wiersze, a nawet ten co po francuzku *goda*, było to prawie synonimy. Filozofem znowu zwał się człowiek, który się nigdy nie umywał, rzadko golił, chodził oberwany i w pana Boga nie wierzył. Trudno zapewne temu uwierzyć, żeby po czasach Brodzińskiego, Aleks. Fredry, Bohdana, Mickiewicza, Malczewskiego, Lelewela i tylu innych mężach, kraj nasz był jeszcze po wsiach, tak dzikim krajem; ale tak było istotnie i obrazy *Powieści bez tytułu* są rzetelnemi obrazami rzeczywistości. Jeżeli tak dziś nie jest jemu to winni jesteśmy. W owe czasy wprawdzie płakano, po kątach nad *oblężeniem Roszelli* pani de Genlis, nad losami Matyldy i Malek-Adela pani Cottin, ale na literatów patrzano, ma się rozumieć na dalekim partykularzu, jak wilk na gwiazdę. Nielepiéj tłum rozumiał ich i po miastach, tłum, który w Powieści bez tytułu został upostaciowany, choćby rodzinie państwa Ciemięgów.

O swoim Szarskim powiada autor: „Co krok to nędza zapierała mu drogę. Budzi ona duszę do energii i boju, wywołując w niéj siły nowe, ale ileż razy zabija! Księgi, ludzie, wzory, towarzystwo, wszystko ubogiemu, spętanemu niedostatkiem staje się nieodstępnem. Książki bibliotek publicznych najczęściéj tym służą, coby je kupić sobie mogli, i tu ubogi ostatni do nich dostąpić może. Ludzie, których wykształcenie i stanowisko silniéj żywem słowem działać może od księgi, dla ubogich stoją za wysoko; wzorów ani dostać, ani ich widzieć niepodobna; do towarzystw trudno być przypuszczonym na stopie równości, bo tu umysł jest najostatniejszą zaletą, a *ogół* tak się lęka ludzi ekscentrycznych, tak im nie ufa, tak ich zimną grzecznością odpycha! Nikt też nie podtrzymywał Szarskiego, słowem współczucia nie popchnął go, nie dźwignął; trzeba mu było z samego siebie dobywać siły; a jedna tylko biedna Sara (żydówka-aktorka) sercem całem słuchała jogo poezyj, które dla niéj wszystkie były arcydziełami. Staś uśmiechał się na ten sąd boleśnie, nie tego mu było potrzeba.“ Daléj mówi tak: „wspomnieliśmy o geniuszu: słówko o nim jeszcze, choć może nie w miejscu. Pojęcie geniuszu rozbiło się o jego definicye nic nie nauczające. Ogół fałszywie, po większéj części szuka i upatruje tego daru bożego; geniuszem dla tłumu bywa najczęściéj ekscentryczność i przesada. Ale też to, co w pierwszéj chwili okrzykują za geniusz, zwykle nie uzyskuje aprobaty tytułu do potomności; częściéj przyszłość, mianuje na tę godność to, co się współczesnym śmiesznem, dzikiem, lub prostotą swoją poziomem wydaje. Cechą geniuszu jest odgadnienie kierunku przyszłości, a że społeczność najczęściéj mimowoli i przeciwko sobie ku niéj idzie, to co jéj najprzeciwniejszem, najniepojętszem się zdaje, może być i bywa, piętnem prawie zawsze nieprzyznanego geniuszu. W wiekach też przejścia jak nasz, gdy wszystko leży na pojęciach nie na uczuciu, z fałszywych definicyj rodzą się fałszywe, kłamliwe wyo-

brażenia i ich zastosowania; lada przesadzony, sztucznie wydęty talencik obwołują zaraz za geniusz, gdy to, co proste, naturalne, nie wyrobione na efekt, spada na najniższe stopnie. Tymczasem jedną z cech nieśmiertelnych geniuszu, jest właśnie prostota pozorna w wykonaniu, prostota idei i formy, przy prawdzie i wdzięku obojga. Zrazu wygląda to często na coś bardzo pospolitego, zwyczajnego; dopiero gdy ludzie rozpatrzą i sprobują, że téj prostocie drugim sprostać niepodobna, że wymałpować jéj nie można, powoli domyślać się zaczynają, że geniusz tylko mógł ją stworzyć.

„I to jest fałszem w pojęciu geniuszu, że mu każą być wyłącznie samą siłą, samą potęgą, samą wielkością w znaczeniu najpospolitszem wyrazów. Geniusz może się objawiać zarówno wdziękiem, urokiem, uśmiechem, tęsknicą, nie ma bowiem koniecznéj formy, w którąby się wlać był obowiązany. Geniuszem jest Molière, Shakespeare, Cervantes i Dante. Na stworzenie Mizantropa i wielu charakterów, typów Moliera tyle potrzeba było geniuszu, co na wyśpiewanie epopei. „Jak większa część ludzi udarowanych jasnowidzeniem od Boga, Stanisław (Szarski) nietylko nie miał się za geniusz, ale w nim zwątpienie brało ciągle górę nad wiarą w siebie. Mierząc się ze współzawodnikami, znajdował się zawsze niższym od drugich i o pierwszeństwo nie myślał się ubiegać, a nie dopominając się stanowiska nie mógł go posiąść, bo u współczesnych ten zyskuje najwięcéj, kto najwięcéj się upomina."

Teraz potrzeba wypisać to co powiedział nasz autor o chlebie powszednim. „Bóg tylko wie jeden, jak mu chleb powszedni ciężko i krwawo przychodził. Nie ma towaru, coby się trudniéj od myśli sprzedawał, nie ma pracownika, coby gorzéj wychodził na dziele swéj ręki. Ci, co jego robotą handlują, budują fortuny; on zawsze spragniony i głodny. Pisma Stanisława, dzięki oryginalności, świeżości, dzięki może okolicznościom przyjaźnym i krytyce, co je prześladowała, sprzedawały się prędko i dobrze; nabywali je bibliopole dosyć ochoczo, ale z każdym rękopismem odegrywali komedyą, żeby go jak najtaniéj wytargować z rąk autora. Żaden z nich nie miał tyle sumienia, żeby otwarcie wartość istotną zapłacić; handlowali tem jak inni skórkami zajęczemi. Najrozumniejsi łapali go pochlebstwem, przyjaźnią, drobną przysługą, uśmiechem dobrodusznym; bezwstydniejsi poprostu wypatrywali chwili dogodnéj, targowali się o każdy grosz, a zbywali w końcu bibułowym rachunkiem. Zarabiał wydawca, bogacił się sprzedający częściowo, mający 50 pr. ustępstwa, to jest więcéj daleko niżli sam autor zysku, a pisarz, wedle odwiecznego prawa, marł z głodu, pracując sił ostatkiem na drugich. Ciężko było z tego grosza wyżyć choć jednemu człowiekowi, ale Stanisław nie potrzebował wiele i wystarczało mu to co miał."

Teraz wystąpi stosunek Szarskiego do czytających. „Życie autorskie szło dalej koleją, jaką je charakter pisarza i pierwsze jego kroki powiodły. Było ono mieszaniną drobnych pociech, a utrapień wielkich, bo świat mniéj ma czasu na współczucie, a gorąco się zaprząta swym gniewem i niechęcią. Stanisław jako pisarz obrazów z życia towarzyskiego branych, jako malujący nieustannie typy otaczającéj go społeczności, wystawiony był na najdziwniejsze napaści, podejrzenia i zaczepki. Nie umiano sobie wystawić pisarza, któryby nie korzystał z typów spotykanych po świecie, nie chciano wierzyć w jego obojętność lub sumienie; szukano wszędzie, koniecznie odtworzenia osobistości znanych, wzorów żywych, to zemsty, to niechęci, to zazdrości, to jakiegoś podłego uczucia. Podejrzenia te rodziły sceny najosobliwsze. Dopominano się u niego o wszystkie wady jakie wytykał ludziom, każda z nich miała adwokata, każdy stan odzywał się za sobą. Ci nie pozwalali nawet wspominać duchowieństwa, inni zastawiali się za szlachtę, drudzy gniewali się za panów, a innym jeszcze zdawało się, że zamało okazywał sympatyi dla klas upośledzonych od losu. W ostatku, każdy charakter i typ, nawet powierzchowny opis osób, wywoływał krzyki: to ja! to mój sąsiad! a to ten, a to drugi!"

Są to prześliczne, pełne życia i prawdy ustępy z własnéj autobiografii Kraszewskiego, których nic w przyszłym jego życiorysie zastąpić nie potrafi. Nie wątpię o tem, że czytelnicy moi przyjmą je wdzięcznem sercem.

Na waletę warto jest wypisać zabawną pretensyą. do Szarskiego mianą, rodziny pp. Ciemięgów.

„W ostatniem z pism swoich odmalował on dom, który, nie wiem komu podejrzliwemu podobało się uznać za odbicie familii Ciemięgów. Że Szarski nie myślał o tem to pewna; ale dość jest rzucić na wiatr tego rodzaju podejrzenie, żeby obudzić posądzenia i gniewy. Usłużny jakiś przyjaciel szepnął o tem saméj pani. Posłano żywo po książkę, poczęto ją czytać. Sam pan protestował, Emilka serdecznie się śmiała; ale mama wzięła to do serca, druga siostra uwierzyła także, i jak zaczęli każde słowo roztłomaczać, przekonali się, iż w istocie zostali *ad vivum* odmalowani. Nie było najmniejszego podobieństwa między rodziną zacną choć śmieszną państwa Ciemięgów; ale liczba córek była równa, a na nieszczęście znalazły się w opisie i na stoliku filiżanki niebieskie... więcéj nie było potrzeba! Matka zaklęła się, że za pierwszą bytnością Szarskiego srodze mu da uczuć swoją krzywdę. Nic o tem nie wiedziała niewinna ofiara, i po kilku tygodniach, wedle zwyczaju wszedł Szarski do domu państwa Ciemięgów z czystem i spokojnem sumieniem. Zdziwił się spostrzegając po twarzach czerwonych, po minie gospodarza, po zafrasowaniu Emilki, że trafił jakoś nie pod humor. Matka żywo nadeszła, a że w niczem się taić nie umiała, odrazu nań wpadła. Już nie wiem, zawołała poprostu z mostu, jakiem pan czołem tu przyszedłeś? Tak! tak! strój pan minę świętoszka! Ślicznie to, w uczciwy dom wszedłszy, będąc przyjmowanym od serca, uczynić go pośmiewiskiem! I masz pan czoło jeszcze po tem do nas przychodzić! Szarski zerwał się jak oparzony. Cóżem ja winien, na Boga! co to jest! Nic nie rozumiem! A tak! udaje że nic nie wie, a w *Czapugrachu* (był to nieszczęsny tytuł ostatniéj książczyny) to nie my może figurujemy? nie my? A córki? A niebieskie filiżanki? a okrągły stolik? Wszyscy poznali! Nie myśl pan, że nas oszukać można!... kwita z przyjaźni!"

Intrygi miasteczkowe potrafiły dokonać tego, że profesor Hipolit i dr. Brant poznali się w figurach nowéj powieści, najpierwsi przyjaciele Szarskiego. Posypały się na niego plotki. Jedni mówili, że się upija, inni, że wiedzie życie zamknięte, aby pokryć jego szkarady; przypisywano mu najobrzydliwsze romanse, najdziwniejsze gesta i charakter całkiem ekscentryczny; komponowano anegdoty z niczego, bawiono się kosztem nieszczęśliwego z obojętnością, z jaką dzieci, złapawszy czasem chrząszcza, na szpilce go obracają dla rozrywki. Liczba znaczna pism, które wydawał, dozwalała przypuszczać, że kogoś okrada, drugim, że czasami trzy na raz rzeczy dyktuje, lub niepoprawny i ledwie na papier rzucony rękopism, bez zastanowienia do druku posyła. Nie wiedziano ile ta pozorna łatwość kosztowała pracy, namysłów, ile nocy bezsennych, ile wycieńczenia i potu, ile życia święciło się na martwy ów papier, do zimnych ludzi, mający mówić o życiu. Nie wiedziano, że każda z tych książek zabierała z myślą część ducha, część siły, część istoty saméj człowieka nieodzyskiwaną nigdy; że pisarz krajał się po kawałku, karmiąc sobą."

St. Szarski okazał się ulubioną postacią autora Powieści bez tytułu; był on nawet dla niego parcyalnym, bo kiedy swoim własnym płodom młodości odmówił wartości, dziełom Szarskiego przyznał cechę genialności.

Kolegą po uniwersytecie i po piórze był Kraszewskiemu Józef Krzeczkowski, podolanin, wydawca Znicza i Biruty; pierwszą drukowaną pracą Kraszewskiego był artykuł w Noworoczniku litewskim Hipolita Klimaszewskiego; potem drukował już w Zniczu (1833 — 34) i Birucie, (1835 r.) rocznikach Krzeczkowskiego, człowieka przedsiębierczego, któren dla zebrania prenumeraty na swoje almanachy i artykułów do nich zjeżdżał nawet na kontrakty do Kijowa. Tu zdobył on do Biruty od Józefa Korzeniowskiego ustęp z dramatu: *Wróżba i Zemsta*. Kiedy już mówimy o pracach Kraszewskiego w noworocznikach wileńskich nie należy przepomnieć artykułu jego w *Bojanie*, piśmie zbiorowem Adama Pieńkiewicza (1837) o tem: *Jak dyabeł kusił pustelnika na puszczy*, historyi opowiedzianéj usty Mikołaja Reja z Nagłowic, językiem XVI wieku i wydrukowanéj nawet *gockim* drukiem.

Powiedzieliśmy przedtem, że Kraszewski, zrozumiał wcześnie tę prawdę, że tylko praca wytrwała potrafi wyrobić znakomitego pisarza i że wziął się do niéj wcześnie, szperając po starych księgach, po archiwach i studyując gorliwie twory wielkich pisarzy wieku naszego, w literaturach zagranicznych. Znał on języki francuzki, niemiecki, angielski i włoski, oprócz łaciny, w któréj czytał utwory naszych kronikarzy. Wadą może kierunku Kraszewskiego było to, że nie zrozumiał odrazu swego powołania; chciał być polyhistorem, pisać o wszystkiem; ale tak jak miał on się stać u nas nauczycielem naszego ogółu, ta wielostronność początkowa naszego autora nie była wcale bez korzyści dla czytającéj publiki. Łatwo to jest powiedzieć: potrzeba wziąć się do pracy, ale niezawsze łatwo jest pracować. Sam Kr. mówiąc o Szarskim wyznał to jak trudno jest u nas o książki, jak niełatwym jest dostęp dla każdego do biblioteki. Książki poważne są u nas rzadkie, niełatwo było wcale dostać je. Podówczas literatura nasza nie miała wcale rzeczy poważnych w rzeczy Estetyk naprzykład; pisma Euzebiusza Słowackiego należały do staréj szkoły, a dopiero początek nowego kierunku, po przedmowie Mickiewicza do krytyków i recenzentów warszawskich, dał był świeżo (1830) Maurycy Mochnacki w dziele „*O poezyi polskiéj w XIX wieku*." Nowości francuzkie naukowéj treści księgarze nasi sprowadzali zaledwo w dwóch lub trzech egzemplarzach. Kto chciał mieć książki poważne musiał je wypisywać za swój miły grosz. Najpoczytniejszem ówczesnem pismem zbiorowem francuzkiem było wtedy: „*Le livre decent etien*" to też ono posłużyło było najsamprzód Kraszewskiemu za wzór do jego prac pierwotnych. Następnie mogły mu służyć za wzór trzy dzienniki francuzkie: *La revue de Paris*, *La révue des deux mondes* i *la révue germanique* do tych można jeszcze dołączyć *la revue brittanique*. Tu się skupiał głównie ruch postępowych idei naszego wieku; tu też mógł każdy zaczerpnąć cośkolwiek z oświaty europejskiéj, jeżeli chciał iść z biegiem wyobrażeń swojego czasu. Profesor Szydłowski, na wzór tych przeglądów, począł był wydawać w Wilnie pismo p. t. *Wizerunki i Roztrząsania naukowe*; posługiwano się tu po większéj części tłomaczeniami.

W Petersburgu Józef Sękowski wydawał Bałamuta, pismo humorystyczne, a Józef Przecławski Tygodnik Petersburski, gazetę polityczną i literacką. Bałamut trwał niedługo, bo trudno jest mieć zawsze potrzebny zapas dowcipu, a Tygodnik więcéj był gazetą polityczną, niż literacką dla braku kollaboratorów miejscowych, tem bardziéj że sam wydawca był dość leniwym pracownikiem. Sztukowano się w nim tłomaczeniami z francuzkiego, umieszczano co Bóg dał. Od roku 1833 znać było chęć odświeżenia tego pisma. Aleks. Tyszyński wydrukował tu artykuł: „*Dwaj ostatni krytycy w Polsce*“ a w r. 1834 Grabowski umieścił artykuł o literaturze narodowéj, ale były to starania luźne niezwiązane niczem; osobliwie brakło tu pewnéj zasady.

Wydawca naprzykład ganił charakter nowéj szkoły francuzkiéj, a umieszczał w Tygodniku przekłady z romansu Wiktora Hugo: Notre dame de Paris i t. p. Brakło tu krytyki, jakkolwiek sam wydawca odzywał się czasami dość dobrze, acz w krótkości, o nowo wychodzących dziełach. Pomagał mu czasami w tem T. B. (Teofil Bukar), a dla rozmaitości tłomaczono tu z angielskiego sprawozdania literackie z *Montly magazine*: Najwięcéj był tu opracowanym oddział *Rozmaitości*. Przecławski drukował tu jeszcze wyjątki ze swoich: Pamiętników rozumowanych, a czasami i poezyjki własnego pióra, pod pseudonimem Microsa. Dla lepszego zamaskowania się, wydawca, w przypisku, zapraszał i zachęcał młodego poetę do występowania dalszego w jego piśmie. Oprócz Bukara, pisywali do Tygodnika recenzye J. S. (Jan Sowiński) i R. W, Trudno powiedzieć, który z tych trzech był lepszym, albo uczeńszym, bo artykuły tych panów zarówno były słabe i kuse, tyle tylko, że p. T. B. odznaczał się, nieraz, osobliwszą przesadą stylu i to nie z początku swojego zawodu, jak to bywa zwyczajnie z młodymi, ale i pod koniec jego, bo nawet 1838 roku, kiedy działalność jego ustała w Tygodniku. Tak stała krytyka literacka po 1830 roku. Zdanie tylko samego wydawcy było trafnem, ale artykuły jego pojawiały się zwykle raz na rok. Postępu w tem piśmie nie było żadnego, wszystko szło ospale, *po staremu*, jak mówiono u nas. Wystąpienie Tyszyńskiego i M. Grabowskiego nie obudziło życia, pismo petersburskie pozostało nadal bezwarwnem i apatycznem jak i przedtem. Cześć obudzenia życia w Tygodniku należy się Kraszewskiemu, tak samo jak obudzenie jego w całem naszem piśmiennictwie. Dokazał on tego niestrudzoną pracą i ochotą do pisania, zdawało się jakby do pióra na świat się narodził. Kraszewski 1835 roku opuścił Wilno, przeniósł się na wieś, do domu rodziców, ale tu nie wiele mógł znaléźć dla siebie zachęty do literackiego zawodu.

Potrzeba pracy dla chleba skierowała go do gospodarstwa na roli, zmusiła do wzięcia dzierżawy małéj, z któréj mógłby się wyżywić i jako tako się utrzymać. Był to wtedy, i dziś jeszcze poniekąd, jedyny środek utrzymania się dla młodego szlachcica, w naszych prowincyach. W ten sposób Kraszewski stał się gospodarzem, dzierżawcą wsi Dołhe na Wołyniu (1835). Można sobie wyobrazić jak podobne zajęcie niewiele musiało mieć powabu dla pisarza z powołania. To też kiedy w r. 1836 został ogłoszony konkurs na lektora języka polskiego, w uniwersytecie Ś-go Włodzimierza (w Kijowie), Kraszewski, który już w uniwersytecie zbierał materyały do historyi mowy polskiéj, napisał i podał do rady uniwersyteckiéj, rozprawę p. t. *Rys dziejów języka polskiego*, (wydrukowaną potem w Warszawie 1843 roku w Nowych Studyach literackich). Rozprawa Kraszewskiego została uwieńczoną, ale jéj autor, dla pewnych okoliczności, nie mógł objąć katedry w Kijowie. Pod względem materyalnym niewiele stracił na tem nasz autor: pensya lektora zaledwo przechodziła 500 rs. (2,000 rb. asygnacyjnych). O posadę tę współubiegał się z Krasz. Kustosz numizmatycznego gabinetu uniwersytetu Kij. Bahrynowski, Krzemieńczanin. Miał on nawet swoją własną pisownię, dość dziwaczną (np. zamiast ch pisał x), ale sama rozprawa jego, którą miałem w rękopisie, niewiele była warta i nie pozyskała sobie względów rady akademickiéj, choć była napisana tą nową pisownią. Miejsce lektora *per interim* zajmował przez jakiś czas Mikulski, potem Józef Korzeniowski, adjunkt przy katedrze literatury rzymskiéj, głośny późniéj w literaturze naszéj dramaturg i romansopisarz, do 1838 roku. Następnie katedra tego języka była zniesioną. Gdyby Kraszewski objął był katedrę, spotkałoby się tu dwóch naszych romansopisarzów. W 1838 roku mieszkał tu hr. Aleks. Przezdziecki, hr. Henryk Rzewuski, X. Ignacy Chołowiński, hr. Juliusz Stratyński, profesorowie Daniłowicz i Jakubowicz. Rzeczą byłoby ciekawą jaki wpływ wywarłoby to koło na talent Kraszewskiego. Inaczéj chciało przeznaczenie i może stało się to z korzyścią dla literatury naszéj: Kraszewski rozwinął samodzielnie swój talent, a lekcye w uniwersytecie i towarzystwo ujmowałyby tylko sporo czasu naszemu autorowi. Pozostawało więc mu i nadal pilnować roli Ale zawsze więcéj go pono zajmowała siejba umysłowa niż wzrost zboża na własnym zagonie. Począwszy na wsi zaczął zaraz pisywać do Tygodnika Petersburgskiego, który stał się jakby jego własnem pismem. Rozpoczęło się odrazu nowe życie umysłowe; przykład Kraszewskiego obudził emulacyą żywą występywali zewsząd nowi pracownicy.

(d. c. n).

Co ja lubię.

Lubię ptasząt śpiewanie,
Gdy śpiewają w przedświcie,
Lubię wiosny zaranie,
Kwiaty lubię nad życie,

Lubię patrzeć w niebiosa,
Lubię dumać bez końca:
Patrzeć lubię jak rosa,
Promienieje do słońca.

Lubię światło księżyca,
W letniéj nocy pogodnéj,
Gdy odbija swe lica
W zwierciadlany toń wodny.

Lubię wreszcie i burze,
Ich błysk i grom ponury,
Błysk w ciemnéj odbity chmurze,
Grom echa gdy dają góry,

KRAKOWIACZEK.

Ludzie sobie narzekają
Że bieda na świecie,
Szczęścia daleko szukają,
Ono w sercu przecie.

U mnie jednak z szczęściem serce
Dawno uleciało,
Gdzie tliło czucie w iskierce,
Wspomnienie zostało.

Zostało wspomnienie
Jak gwiazdeczki jasne,
Ale życia cienie
Gaszą mary krasne.

Życie jak macocha
Dla marzącéj duszy,
Poezyi ni trocha
O chleb głowę suszy,

Gdyby dusza miała
Skrzydełka ptaszyny,
Wnetby uleciała
Z téj płaczu doliny.

Latałaby sobie
Po chmurkach, po niebie,
Spoczęła na grobie,
Gdzie schowali ..ciebie!

Zochna z nad Bucza.

FLAMINIA.

POWIEŚĆ

przez

Jana Zacharyasiewicza.

(Dalszy ciąg).

XXII.

W tym samym prawie czasie, gdy do marmurowych brzegów Wenecyi jego królewska mość Pantalion „*il re d'allegrezza e di baldoria*“ miał przybić i tron swój na placu św. Marka rozłożyć, w ziemi podkarpackiéj były także zapusty i także bawiono się chociaż nie z taką wyszukaną fantazyą.

W Tuliwodach było jednak bardzo cicho. Dwór był pusty. Pan Krzysztof przychodził tylko późną nocą do swego gościnnego pokoiku, bo cały prawie dzień siedział w gorzelni lub chodził po gumnach. Dzisiaj jakoś wcześnie przyszedł do dworu. Przeszedł się kilka razy po obszernych i wysokich komnatach. Ściany odpowiedziały echem kroków jego. Zatrzymał się i echo ucichło. Obejrzał się w koło, był sam jeden.

Smutno zrobiło się zacnemu panu Krzysztofowi. Odkrząknął aż szyby zabrzęczały. Na ten brzęk otworzyły się drzwi a do pokoju wszedł zaspany służący.

— Cóż tam Marcinku? zapytał pan Krzysztof, kontent, że ktoś drugi jest z nim razem.

— Cóż panie, odpowiedział Marcinek, smutno nam jakoś w zapusty.

— Co smutno, to smutno. Dyabelnie smutno, przyznam ci się, że nigdy jeszcze nie było mi tak smutno.

— Aby tylko jakiego nieszczęścia nie było.

— Cóż tam zaraz o nieszczęściu prawić. Na co wilka z lasu wywoływać. Ot smutno że państwa we dworze nie ma. Dwór bowiem, to tak jak dobry przyjaciel, smuci się gdy dziedzica nie ma.

— Może to i prawda, przecież te ściany dawniéj były weselsze, a teraz takie jakieś smutne, że człowiekowi markotno na nie patrzyć. Zdaje mi się nawet, jakoby cały nasz dwór przez ten czas znacznie się postarzał. Widać to na dachu, oknach i ścianach.

— Masz słuszność. Jak człowiek w zmartwieniu

swojem starzeje się, to samo dzieje się z dworem, w którym dziedzic nie mieszka. Czy wiesz Marcinku, że i ja gdy przyjadę do mojéj chałupy zastanę ją starszą, chociaż właściwie teraz się odnawia?...

— Jakże to się dzieje aby drzewo i mur tak czuło jak człowiek?...

Roześmiał się pan Krzysztof i szeroką dłonią podgarnął Marcinkowi czuprynę do góry.

— Widzisz Marcinku, rzekł wskazując drugą ręką na ściany, ten mur i to drzewo bardzo wiele wiedzą co się tutaj działo. One odpowiadały śmiechem na śmiech dziedziców szczęśliwych a płaczem i jękiem na boleść tych którzy tu płakali i jęczeli. Taki mur i takie drzewo to już nie jest prostą cegłą i zwykłą tarcicą, to powiernik dobréj i złéj doli, to skarbiec różnych przygód w rodzinie, w których tworzy się potem historya.

Spostrzegł pan Krzysztof, że mówi za wysoko do prostego człowieka, ale mimo to miło mu było słyszyć własne słowa swoje; na które krwawo zapracował czytając różne książki po całych nocach.

— Tak jest, prawił dalej bez względu na poziom umysłu poczciwego Marcina, to nie mur ani drzewo, to historya nasza, która w tym drzewie i w tym murze, siedzi, to dzieje rodów naszych mieszczące się w tych szczelinach, a gdyby tylko język ich zrozumiéć można, usłyszelibyśmy może nie jedną rzecz pouczającą. Ale ten język jest niezrozumiały, gdy w domu nie ma dziedzica...

Marcin kiwał głową, bo słowa pana Krzysztofa wydawały mu się jeszcze piękniejsze od słów księdza proboszcza gdy stoi na ambonie. Pan Krzysztof wziął to kiwanie głowy zacnego Marcinka za głębokie wrażenie jakie na słuchacza sprawiły podnioślejsze jego słowa. Ucieszył się tem bardzo bo to było dla niego dowodem, że oprócz gospodarstwa z gorzelnią rozumie się jeszcze i na innych rzeczach, i innym umie przemawiać językiem, czemu pani Eliza nigdy wierzyć nie chciała. Wprawdzie był to dopiero plon kilkunastu przeczytanych książek, ale plon sumiennie i z wielkim trudem zarobiony. Szczerze i serdecznie ucieszył się skutkiem tego plonu, a poważne kiwanie głowy poczciwego Marcinka było dla niego rozkoszną nagrodę. Radość ta nastroiła go jeszcze wyżéj.

— Widzisz kochany przyjacielu, mówił daléj z pewnym smutnym wyrazem na rumianéj twarzy swojéj, wrzystko to co mówiłem o tych ścianach o tym murze, odnosi się tylko do domu rodzinnego. Czy ty wiesz co to dom rodzinny?

Marcinek kiwnął głową i westchnął przytem, jak to zwykł zawsze czynić w kościele, gdy przy ołtarzu zadzwonili.

— Poznaję po twojéj głowie i tem westchnieniu, mówił daléj pan Krzysztof, ze wiesz co to jest dom rodzinny. Dom rodzinny są to ściany, w których urodziliśmy się wychowali i w których także rodzą się i chowają dzieci nasze. A ty nie masz ani domu ani rodziny. Nieprawdaż?

Marcinek smutno podniósł ramiona do góry.

— Otóż widzisz, prawił daléj pan Krzysztof, smutno ci, bo nie masz ani domu ani rodziny. Widzisz, ja mam dom i to teraz dom dosyć okazały, bo kazałem go dwa łokcie z górą podnieść i ściany jego oblepić złotym papierem. Czy myślisz że mi w tym domu wesoło? Gdzie tam! Tak mi smutno jakbym był w pustyni... A wiesz dla czego? Oto że jestem sam w tym domu, że wprawdzie urodziłem się w nim ale nie ma w niéj rodziny, jest tylko jeden człowiek który wprawdzie pracuje od świtu do nocy, ale dyabli wiedzą po co i na co pracuje.

Ostatnie dosadniejsze wyrażenie pana Krzysztofa podobało się bardzo Marcinkowi, bo je łatwo zrozumiał.

— To się ożenić i kwita! zawołał z pewną poufałością, która go mocno cieszyła a wtedy dyabeł nic wiedzieć nie będzie tylko pan Bóg i aniołowie w niebie.

— Dobrze mówisz, widać że masz rozum i poczciwe serce. Człowiek powinien się ożenić, aby miał co kochać i miłować. Człowiek, który nikogo nie kocha jest złym człowiekiem podobnym do owego kamienia w rzece, który fale wody toczy bez ustanku i bez celu. Gdyby on leżał na jednem miejscu, mógłby stać się fundamentem do pożytecznéj budowy.

Marcinek kiwał ciągle głową.

— A tak, ciągnął daléj pan Krzysztof, z takiego kamienia nie ma żadnego pożytku. I jemu nie miło także tłuc się ustawicznie po dnie koryta, dokąd nawet słonko boże nigdy nie zaświeci.

Pan Krzysztof westchnął tutaj z całych piersi.

— Jak powiadam, ożenić się, powtórzył drugi raz zdanie swoje Marcinek w tem przekonaniu, że ono jest bardzo trafne i rozumne i na powtórzenie zasługuje.

Pan Krzysztof siadł na fotelu i szeroką dłonią przesunął po twarzy.

— Ożenić się! zawołał po chwili nic łatwiejszego jak powiedzieć: ożenić się. Ale z kim i jak?... to pytanie.

— Alboż to mało kobiet na świecie?... Alboż to zaraz w naszym dworze nie ma młodéj wdowy?

Pan Krzysztof przesunął drugi raz ręką po twarzy.

— Ba, odparł, ale czyżby mnie chciała ta młoda wdowa?

Marcinek zawahał się trochę, pan Krzysztof patrzał na niego zrosnącą ciekawością.

— Możeby z razu nie chciała, odpowiedział wreszcie Marcinek, ale gdyby się dobrze namyśliła, gdyby obaczyła dwór na dwa łokcie w górę podniesiony i ściany złotem papierem oblepione... gdyby...

Przerwał mu pan Krzysztof.

— Gdyby tylko dlatego za mnie poszła, zawołał z widocznym smutkiem, to już wolałbym życie moje zakończyć w stajni przy wołach i w gorzelni przy kotłach.

I smutek wybił się głęboki na poczciwéj twarzy pana Krzysztofa. Marcinek zaś nie mógł ani tego smutku ani tych słów zrozumiéć. Patrzał na pana Krzysztofa, jakby nie wiedział, czego właściwie on chce i czego do swego szczęścia pragnie.

Tymczasem wstał pan Krzysztof i szerokiemi krokami zaczął przechadzać się po pokoju. Proste słowa Marcinka popsuły mu szyk w głowie. Wzbudziły w sercu jego jakieś niemiłe uczucie, którego nie mógł się pozbyć.

Długo trwało milczenie. Wreszcie uznał Marcinek że rola jego jako powiernika myśli i uczuć pana Krzysztofa skończyła się, a zaczęła się dawna rola sługi.

— Co pan będzie jadł na wieczerzę? zapytał w końcu.

To zapytanie przerwało smutny wątek myśli panu Krzysztofowi. Zatrzymał się nagle przy Marcinku, pomyślał chwilę ale wnet machnął ręką i zaczął daléj chodzić.

— Daj co chcesz, mruknął pod nosem, daj kawałek chleba i sera.

— Zawsze chléb i sér, przecież dzisiaj niedziela i zapusty już się nie długo skończą, remonstrował Marcinek.

— Co mi tam zapusty, mruknął pan Krzysztof chodząc, zapusty mogą być zawsze, gdy człowiekowi dobrze się wiedzie. Wiesz przecież, że w naszem gospodarstwie dobrze się wiedzie. Po cóż więc zapust, chléb i sér to dosyć.

— Przecież dzięki Bogu jeść się jeszcze co znajdzie!

— To zaoszczędzić i schować jak państwo wrócą...

— Możnaby upiec kurę.

— Czy ja to dziedzic, abym jadł kury? Jak przyjadę do mojéj chałupy, to każę ich sobie dwie upiec. A tutaj na cudzym koszcie trzeba być oszczędnym. Rozumiesz?

Marcinek podrapał się w głowę.

— Powiedz gospodyni, mówił daléj pan Krzysztof, aby kury dobrze wyglądały gdy pani Eliza przyjedzie, aby spiżarnia była dobrze zaopatrzona, i aby masło było świeże... a konfitury czy się nie psują?

— Już tam na to wszystko jeszcze czas będzie... ale co pan dzisiaj będzie jadł na wieczerzę?

— Najlepiéj będzie jeżeli nic... Tak... nic nie będę jadł, bo jakoś nie mam apetytu. Będę listy pisał. Czy jest tam o czem napisać? Zawołać ekonoma.

Marcinek pokiwał głową i odszedł. Za chwilę stał przy drzwiach sążnisty człowiek z ogorzałą twarzą.

— Co tam słychać nowego? zapytał pan Krzysztof.

Sążnisty człowiek odkrząknął i obtarł ręką wąsy.

— Dzięki Bogu, że nic nowego nie ma, odpowiedział.

Pan Krzysztof zmarszczył brwi.

— Za cóż to Bogu dziękować? zapytał gniewnie, czyż wy wszyscy jesteście za tem, aby tu zawsze było jak dawniéj, i nigdy nic nowego się nie robiło.

Ekonom obtarł wąsy.

— Proszę pana, odparł, już ja tam pewnie państwu bardzo dobrze życzę, ale jeżeli człowieka wszystko dręczy, to jest rzeczą bardzo naturalną...

— Wszysto dręczy! A to dla czego?

— Widzi pan, dawniéj inaczéj było we dworze. Bez pewnych ludzi nic się nie robiło. Czy pani co było potrzeba, czy pan dziedzic chciał co sprzedać lub kupić, to oni do wszystkiego należeli. Oni doradzali, oni kupowali lub sprzedawali, brali pieniądze lub dawali naprzód, jeżeli wypadła potrzeba. Kupowali drzewo w lesie na pniu, a dawali za to sągi do pieca i gorzelni. Nic bez nich nie było. Dzisiejszy młody pan wszystkich odsadził.

— I bardzo dobrze zrobił, odparł pan Krzysztof, który przyjaciela swego we wszystkiem bronił, bo oni tyli na dworze podczas gdy dwór chudł coraz więcéj.

Ekonom odkrząknął,

— To to prawda, odparł kiwając głową, połowa miasteczka zabudowała się z lasów dworskich i za lichwę przy sprzedażach i pożyczkach... ale jeżeli to się tak naraz urwało, to człowiek po nocach sypiać nie może.

— Czy obawiasz się czego?

— Od ludzi którym się łatwy zysk odbiera można się wszystkiego spodziewać? Jak tylko pies w nocy zaszczeka to człowiekowi mrowie po ciele przebiega.

— Można budynki assekurować.

Ekonom machnął ręką.

— Ej co tam assekurować. Już ja gospodarowałem nieraz z assekuracyą. Assekuracya to proszę pana jest podobna do tego, jakby kto komu obiad zjadł przed nosem i potem za ten obiad mu zapłacił. Niech za te pieniądze idzie do traktyerni, czy takiego obiadu dostanie. Będzie niesmaczny i niezdrowy i drożéj trzeba za niego zapłacić. Dziękuję za to.

— Czyście co słyszeli?

— Słyszyć nie słyszałem, bo cóż tam uszy nastawiać gdzie człowieka nie proszono. Dosyć spojrzyć im w oczy, co się tam w ich sercu dzieje, że ze dworu nic kupić nie mogą, że z lasu kto inny drzewo zabiera, że gorzelnia pędzi się na własny rachunek dworu i woły tuczą się dobrze.

Pan Krzysztof zamyślił się.

— Co młody pan dziedzic robi, rzekł po chwili, to wsyystko jest dobre. Trzeba było raz skończyć z takim porządkiem rzeczy, który był ciągle ruiną dworu. Wierzę że tym ludziom, którzy za dawnych rządów jak pijawki dwór wysysali, niebardzo jest teraz miło, że to się urwało. Raz musiało się urwać i dobrze że to teraz nastąpiło, gdy jeszcze jest od czegoś się urywać. Że im nie dobrze z oczu patrzy, nic dziwnego. I kot łypnie oczyma, gdy się go od mleka odepchnie. Z tego jednak nie można jeszcze wnosić, że ten kot rzuci się na nas i za gardło nas chwyci. Tupnąć dobrze nogą, a bieda zmykać będzie aż miło.

Ekonom poskrobał się w głowę.

— Dałby pan Bóg, odrzekł, aby się tak skończyło, jak pan mówi. Gdy dziedzica w domu nie ma, to człowiek wszystkiego się boi.

Pan Krzysztof rozmawiał jeszcze czas niejaki z ekonomem a pożegnawszy go siadł do stolika i położył przed sobą dużą ćwiartkę papieru jak najbielszego.

Kto znał przedtem zacnego pana Krzysztofa, zdziwiłby się niemało, gdyby go ujrzał przy biórku pochylonego nad papierem jak największego formatu i kręcącego piórem to w tę to w ową stronę. Nic innego nie mógłby przypuszczać jak to, że pan Krzysztof na wołach zbankrutował a teraz poświęcając się literaturze, chce na niéj odbić jako tako swą stratę.

Bywały i takie u nas wypadki, ale nauczyły dostatecznie poszkodowanych, że na tem polu samą chęcią swoją trudno jest straty powetować. I nad panem Krzysztofem trzebaby było ubolewać, gdyby go podobna mania była naszła. On jednak dalekim był jeszcze od téj manii. Jeżeli w téj chwili w kabłąk pozginał olbrzymie członki swoje, to nie uczynił tego z miłości dla literatury lub dla literackiego przemysłu, ale poprostu pisał list, do Wenecyi.

Wenecyą wyobrażał sobie zacny pan Krzysztof w sposób trochę odmienny, jak ją zwykli turyści widzą. Wprawdzie widział on, że tam jest wiele wody, że wszystkie domy pałace i kościoły stoją śród morza, że nie ma tam ani jednego konia ani jednéj dorożki, ale o tem wszystkiem nie myślał wcale w téj chwili. Wenecya przedstawiała mu się tylko w osobie Maryana i pani Elizy. Maryana nie potrzebował sobie idealizować ale za to panią Elizę widział jako Wenerę jadącą na muszli po wodach Adryatyku. Do niéj to właściwie odnosiły się słowa jego w tym sążnistym liście, przy którym dwie świece do szczętu się spaliły.

— „Nie uwierzysz przyjacielu, pisał między innemi, jak mi smutno i tęskno jest bez was, gdy wróciwszy z gorzelni przechadzam się samotny po pokojach waszego dworu. Dwór ten sam, ściany te same i zwierciadła ale przecież brak tu czegoś, co mi ongi ten dwór tak miłym czyniło... Już nie mówię o tem, że ciebie zacny Maryanie tu nie ma, ani szanownych rodziców twoich, ale w pamięci mojéj miga nieustannie owa żółtawa suknia w drobne czarne paseczki, która tam na téj sofce tyle dowcipnych rzeczy mi nagadała. A nie były to rzeczy tylko dowcipne, ale były bardzo trafne i przyjacielskie. Rozmyślając nad niemi, powziąłem ochotę zostać trochę innym człowiekiem i grubą skórę moją o ile się da trochę oszlifować. Już trochę celu mego dopiąłem, bo mogę kilka książek z przyjemnością od jednego tchu przeczytać i wiele nawet z nich pozostaje mi w pamięci. Jak widzę wszystko dla człowieka jest możliwe, jeżeli wewnątrz ogrzewa go uczucie szlachetne. Nie powiem, aby to uczucie było moją zasługą, należy się ono wyłącznie pani Elizie, która umiała w sercu człowieka prostego rzucić ziarnko lepsze, o jakiem pierwéj nie miałem wyobrażenia. Teraz widzę że taki posiew jest koniecznie w życiu potrzebny, bo podczas gdy nasze siewy wydają nam tylko chléb powszedni, te posiew z ręki kobiety jest prawdziwym marcypanem, bez którego nie ma żadnéj lepszéj biesiady życia... Ile razy o tem myślę, zawsze serce moje przepełnia się wdzięcznością dla owéj żółtawéj sukni w czarne paseczki, którą widzę w każdym kącie salonu i jedwabny jéj szelest wyraźnie słyszę...

W gospodarstwie nie ma nic nowego, tylko stary Aftanazy boi się w nocy szczekania psów i różne domysły złowrogie ztąd snuje. Sądzę że on nie ma racyi, chociaż rzeczywiście tym wszystkim ludziom, których od spraw dworskich odsunąłeś, niedobrze z oczu patrzy. Oni wyciągali już pazury swoje po należące się im spadkobierstwo, a tymczasem chory człowiek okazał znaki życia i chce koniecznie nie przyjść do zdrowia. Sądzę że na tym gniewie się skończy. Z listu twego, który przed tygodniem otrzymałem, wieje jakaś woń dziwna podobna zupełnie do woni na wiosnę gdy pszenica ma zakwitnąć. Jeżeli się nie mylę, to coś tam zanosi się na jakiś kwiat dla ciebie. Jeżeli tak jest w istocie, to przyjmij najszczersze moje życzenia, chociaż życzenia te z pewną boleścią z serca mego wychodzą. Nic dziwnego. Człowiek za wiele jest egoistą, aby przy cudzem szczęściu nie myślał o swojem. Otóż i ja przy schodzącym dla ciebie kwiatku pomyślałem sobie o tak samotnym domku moim, któremu dzisiaj już niczego nie brak jak tylko tego anioła co właściwie ożywia ściany jego i atmosferę zaprawia wonią i szelestem złotych skrzydeł swoich... Widzisz jak poetyczne myśli przychodzą mi w gorzelni do głowy... powiedz to pani Elizie. W samotności i myśląc o osobach oddalonych dziwnie się człowiek zmienia. Pani Eliza w wielu rzeczach nie poznałaby mnie teraz..."

I tak daléj pisał zacny pan Krzysztof bardzo wiele jeszcze o swojéj samotności, o książkach które czytał i o pani Elizie. Wreszcie zakończywszy swą epistołę jak najgorętszym afektem dla wszystkich już sporo po północy, odczytał ją kilka razy i uznał w końcu, że była dobrą. Był nawet z siebie widocznie zadowolony, bo zdawało mu się, że w tym liście przeszedł nawet dotychczasowe siły swoje.

Wesoły jakby pokrzepiony jaką lepszą nadzieją zbudził się po kilkogodzinnym odpoczynku przy trzecim pianiu kogutów, a chociaż był dzień mglisty i dosyć jeszcze ciemno na dworze, zebrał się szybko i wyszedł do gorzelni.

W gorzelni zastał ruch zwykły. Z kotłów buchała para, ogień wrzał jak w piekle dantejskiem, a od czasu do czasu mieszał się w tem obrazie głos robotników...

Pa Krzysztof usiadł na stoliku i śród tego piekielnego łoskotu i ognia zamarzył sobie o Wenecyi i o swojéj epistole, która w téj chwili siłą pary do niéj dążyła.

(d. c. n.)

NA WYSPIE.

NOWELLA

Fr. Spielhagena.

przekład z niemieckiego

(Dalszy ciąg).

Rozdział XXVI.

— Czy wiesz Hardzie, rzekł doktór Deus powracając następnego wieczora na *Neptun*, kto teraz największą ma nadzieję otrzymania ręki, niesworné twéj kapryśnéj piękności?

— Zapewne, nie kto inny jak ja?

— Mylisz się.

— Cóż? Paweł?

— I ten nie.

— A więc któż taki?

— Ja mój drogi. Poszłaby za mnie i dzisiaj jeszcze gdyby tylko moje duże usta przemówiły.

— Może masz słuszność, śmiejąc się odparł Gerhard, lecz o ciebie jestem spokojny, bo wiem że władzy swojéj nie użyjesz, ale i Pawła nie więcéj się boję.

— Duma zawcześnie przez ciebie mówi mój drogi Hardzie.

— Odwagą się zwycięża!

— Dlaczego nie żądasz od Heddy stanowczéj odpowiedzi.

— Nie chcę ją naglić, bo dowieść pragnę że pozostawiam jéj najzupełniejszą wolność wyboru. Czy późniéj śmiałbym z zaufaniem na jéj miłości polegać, gdyby mi zarzucić mogła że miłość tę podkradłem niejako? To co całkowicie do mnie jedynie należéć powinno, zdobywać muszę tak, jak mężczyźnie zdobywać należy, i umiéć bronić tak, żeby zawsze moją zostało własnością!

— Ale czy wie ona że ty ją kochasz, gdyż po tym nader dogodnym układzie, według którego każde z was czyni i myśli co mu się tylko podoba, tak jakby nic nigdy między wami nie zaszło, ta pewność zda mi się być konieczną.

— Nie znasz się na tem drogi doktorze. Wierzaj mi, Hedda tak pewną jest tego że ją kocham, jak gdybym jéj to teraz na nowo, tysiącem przysiąg potwierdził.

— Gdyby jednak Pawła kochała więcéj niż ciebie?

— To być nie może!

— Dlaczego?

— Dlatego że człowiek namiętnie to tylko kochać może, co uzupełnia jego istotę. Miłość nie jest zbytkiem naszéj natury, jak twierdzą niektórzy, ale koniecznością jéj i potrzebą. Paweł zaś posiada wszystkie zalety i słabostki Heddy, jest jakby odzwierciedleniem jéj istoty, ale jéj nieuzupełnia.

— Doprawdy, tak sądzisz?

— Nawet w ruchach są do siebie podobni. Czy nie uważałeś jak oboje niecierpliwie podrzucają głową gdy niedość prędko mogą przyjść do słowa? Podobni są w zręcznéj postawie, w lekkich poruszeniach, i w głosie nawet. Możnaby ich wziąść za rodzeństwo, co wszystko czyni że lubię Pawła, ale go się bynajmniéj nie boję.

— A czegóż się ty boisz?

— Wszystkiego co jest silniejsze ode mnie. Paweł nim nie jest. Ja i w połowie nie posiadam jego ukształcenia, wzniosłości ducha lecz podwójnie, potrójnie większą mam siłę do walki z życiem. Właściwa im gorączkowa czynność i marzycielstwo, które wzajemnie podniecaliby w sobie, stałoby się im wkrótce ciężką męczarnią. Co do mnie, posiadam

odwagę i wytrwałość a w razie danym, bez chorobliwego drgnienia nerwów zniosę najsilniejszy cios losu. Takiego męża, powinna, musi wziąć Hedda, a nie marzyciela jakim jest Paweł. Szkoda że Klementyna zamężna, onaby była stosowną żoną dla niego.

— No, patrzajcie! ci wielcy panowie! zawołał doktór, nic dla nich zanadto dobrego nie ma, a najlepsze jeszcze ledwo za dobre uznać raczą! Że trochę piękniejsi od innych, już im się zdaje że są jasnymi synami nieba, i że im wolno wybierać wśród najpiękniejszych cór ziemi. A dla nas, niestety! nieurodziwych dzieci, nie uśmiecha się żadne błękitne oko, nie składają się do pocałunku żadne różowe usteczka i ani jedno białe łono nie podnosi się w miłosnéj tęsknocie! O naturo! i cośmy zawinili, że musimy tylko wstawać głodni od stołu téj uczty miłości? O tak! ona jest piękną, ona zachwyca swym wysmukłym wzrostem, bujnym jasnym włosem i temi błękitnemi tęsknemi oczyma! Żyć a choćby i umrzéć dla miłości takiéj kobiety, to i rodzić się warto!

I mówiąc to doktór gestykulował swemi długiemi rękami, i w śmieszny sposób kołysał w tę lub wową stronę dużą swą głowę.

Gerhard znał dobrze te namiętne wybuchy przyjaciela, któremi szczególny ten człowiek od czasu do czasu przerywał rolę zimnego szydercy, jaką od lat wielu odgrywał; lecz tak był jedynie tylko Heddą zajęty, że prawie z zadziwieniem zapytał:

— Czy naprawdę Klementyna tak piękna?

— O bogowie! wykrzyknął doktór, ci zakochani nie mają ani uszu do słuchania, ani oczu do patrzenia, zachowajcież mnie od tak opłakanego stanu!

— Coś mi się zdaje że od tegoż stanu i ty niezbyt jesteś dalekim.

— Ja? zawołał doktór Deus już swoim zwykłym żartobliwym tonem „ja! wszak ja do miłości stworzony nie jestem!

Rozdział XXVII.

Téj jeszcze nocy poszła Klementyna na wieś odwiedzić chorego. Doktór Deus który pacyenta jéj opatrzył, dzisiaj przy pożegnaniu obiecał przysłać maść ze swéj apteki, która niezwłocznie przyłożoną być miała, i właśnie obiecane lekarstwo nadesłał w chwili gdy w domu komendanta już wszyscy do snu kłaść się mieli. Pomimo spóźnionéj pory, nic nikomu nie mówiąc, wyszła Klementyna z domu, a że stan chorego się pogorszył, więc zatrzymała się przy nim dłużéj nieco, a przez ten czas zaszedł księżyc który przedtem świecił jasno i już zupełnie było ciemno gdy zwolna wracała do domu dobrze sobie znaną przez wieś drogą. Nagle od strony jednego z domków wysunęła się ciemna postać i na środku drogi o parę kroków przed nią stanęła.

Młoda kobieta przekonana że człowiek ten jest jednym ze sterników, śmiało szła dalej i gdy była już blizko niego, bez najmniejszéj obawy dobry wieczór mu rzekła.

— Dobry wieczór łaskawa pani! odpowiedział głos pana von Elze.

Tak niespodziewane o téj porze spotkanie tego człowieka zachwiało odwagę Klementyny, tak że z trudnością krzyk przytłumiła.

— Pan tutaj? szepnęła idąc dalej.

— Tak pani, znowu tu jestem odrzekł pan von Elze nie odstępując od niéj, tęsknota skraca daleką drogę. Widziałem gdy pani szła do domu Rickmana i czekałem tutaj na panią, gdyż raz jeszcze muszę z nią pomówić zanim na zawsze opuszczę te strony, a nie byłem pewny czy dobrowolnie uzyskam sposobność rozmówienia się z panią. Ach! gdybyś pani wiedziała jak okropną jest dla mnie myśl opuszczenia pani na zawsze! o! miałabyś litość nade mną! Czy serce pani nie przemówiło za mną? Czy naprawdę z takim spokojem żegnasz pani człowieka którego niegdyś przyjacielem zwałaś, dla którego doli i niedoli okazywałaś współudział tak serdeczny? O nie! tak okrutną pani być nie możesz! Klementyno! zruć z siebie tę dumę która nie czyni cię szczęśliwą, a mnie do rozpaczy prowadzi! Powiedz mi, że niezupełnie obojętny ci jestem, a jeżeli przez dumę słowem tego wyrazić nie chcesz, to serdeczny uścisk ręki niech mi dowodem będzie że w sercu twojem tleje jeszcze iskierka przychylności dla mnie. O Klementyno! ty, tak dla wszystkich pełna słodyczy i dobroci, czyż możesz być bez litości dla mnie jedynie, który zawiniłem tem tylko że ciebie kocham nad wszystko! Mówiąc te słowa pochwycił jéj rękę i chciał ją do ust swych podnieść. Lecz szybko wyrwała ją z jego ujęcia i chociaż drżała jak listek, silnym jednak wyrzekła głosem:

— Jeżeli pan raz jeszcze dotknąć się mnie ośmielisz, głośno zawołam o pomoc, i sam sobie będziesz pan miał do zawdzięczenia że i inni tak dobrze poznają się na panu jak ja go znam teraz!

— O nieba! zawołał pan von Elze czy miłość moja, która...

— Zaprzestań pan tych słów próżnych, przerwała Klementyna; gdyż zapewniam pana, że nie czynią na mnie spodziewanego wrażenia.

— Po małéj przerwie podczas któréj pan von Elze w niemałem osłupieniu nie wiedział co mu daléj mówić wypada i w milczeniu postępował przy niéj, Klementyna odezwała się głosem spokojnym:

— Chętnie przystaję na towarzystwo pana, gdyż dużo mam z nim do pomówienia, a w obecności innych ani bym chciała ani bym mogła powiedziéć to co powiedziéć muszę.

— Prawdziwie, łaskawa pani, rzekł pan v. Elze nie pojmuję...

— Zechcéj mi pan tylko na jedno odpowiedziéć pytanie, powtórnie przerwała Klementyna, czy Marya Krafft mówiła prawdę opowiadając mi stosunek swój z panem? Milczenie pana to potwierdza, a więc dziewczyna nie skłamała! A teraz co pan z nią czynić zamierza? Zapewne, mógłbyś mi odpowiedziéć że to nie do mnie należy, że niedelikatnie z mojéj strony mieszać się w cudze sprawy lecz zdaje mi się, że nie powiesz tego!

A może chcesz nagrodzić wyrządzoną jéj krzywdę, i biedną córkę żeglarza wyniesiesz na wielmożną panią? Naprawdę, byłby to czyn szlachetny.

— Co? z oburzeniem zawołał pan von Elze.

— Tę jedną drogę masz przed sobą... I cóż? milczysz?... nie chcesz, nie możesz tego uczynić? Ja to i pierwéj wiedziałam, dodała głosem ironicznym i pogardy pełnym. I jakiż los czeka tę biedną dziewczynę która zawierzyła szlachetności pańskiéj?... Przekleństwo ojca!... hańba i nędza!... albo i śmierć może!

— Jakiekolwiek są moje błędy, stłumionym głosem rzekł pan von Elze, skąpstwo nigdy nie było wadą moją, i zaręczam że ona z mojéj winy nędzy cierpiéć nie będzie.

— A na szczęście jesteś pan w możności zamienić w czyn swoje szlachetne chęci! zawołała Klementyna nie mogąc daléj powstrzymać wybuchu oburzenia. O! jakże nikczemnym jest postępek pański! Biedna Marya!...

Właśnie zbliżali się do domu. Klementyna znów się odezwała:

— Żegnam pana i mam nadzieję, że widzę go po raz ostatni!

Przy tych słowach spiesznie weszła do domu zamykając drzwi za sobą. Pan von Elze stał w miejscu przez parę sekund, potem założywszy w tył ręce ze zwieszoną głową zwolna się oddalił.

A tak był zatopiony w niezbyt zapewne wesołych myślach, że nie słyszał cichych kroków postępującego za nim człowieka, który wysunął się z głębokich cieni jednego z małych budynków otaczających podwórze, (gdyż Klementyna przez podwórzową bramę weszła do domu). Na otwartéj przestrzeni pomiędzy domem a ławami piasku, człowiek ten szedł ciągle za nim w równéj odległości. Gdy jednak pan von Elze minął pagórek na którym stał domek strażnika, człowiek ów przyspieszył kroku i był już blizko niego, gdy porucznik spotkał strażnika w domu którego mieszkał i który właśnie powracał z warty.

— Czy to wy Ronsaku spytał pan von Elze.

— Dobry wieczór panie poruczniku, odpowiedział tenże, a gdzież to o tak spóźnionéj porze? i razem poszli daléj. Tajemniczy człowiek zatrzymał się i patrząc za niknącemi w cieniach nocy postaciami półgłosem rzekł do siebie.

— Nie dziś! do sposobniejszéj chwili odłożyć trzeba porachunek między nami mój panie von Elze!

Rozdział XXVIII.

W tym samym prawie czasie w którym Gustaw powrócił na *Orla*, pan von Elze przybił retmańską łodzią na Nedur, którą wracając pocztowym parowcem napotkał w drodze.

— Rozmowa z Pawłem owéj nocy na wybrzeżu silne zrobiła na Gustawie wrażenie, i gdy serdeczna wiara Pawła w miłość i wierność Klementyny, zagasłe prawie zacofanie na nowo roznieciła w jego sercu, szczera i ostra krytyka otworzyła mu oczy na nierozsądne jego postępownie.

Teraz już w łagodniejszem świetle widział stosunek Klementyny i porucznika.

— Paweł ma słuszność, myślał w duszy; gdy ona sama nie przeczuwała nawet skłonności do nieznajomego, nie powinienem był chłodnem obejściem odpychać jéj od siebie.

Ja sam jestem przyczyną że ten obcy tak prędko stał się przyjacielem i powiernikiem; przy pierwszem niebezpieczeństwie które naszemu szczęściu zagraża czyż się godziło zostawiać samą tę łatwowierną i nieświadomą istotę?

Z silnem postanowieniem wyjaśnienia tego tak między niemi naprężonego stosunku, wrócił Gustaw z podróży. Gorącą miłość którą zawsze ku żonie swéj żywił, zazdrość zamieniła w płonącą namiętność, która teraz, gdy ją nie tłumiła chorobliwa duma, rozwinęła się silniéj jeszcze. On musiał zaraz, natychmiast widziéć ją, rozmówić się i przebaczenie jéj wybłagać. Podczas gdy wszystko spało na *Orle*, w małéj swej łodzi przeprawił się na Nedur. gdy był już na podwórzu, spostrzegł nadchodzące dwie postacie widocznie żywą zajęte rozmową, skrył się między budynki nie chcąc być poznanym o tak późnéj godzinie.

Postacie zbliżały się, przeszły tuż obok niego, usłyszał głos Klementyny! Mówiła żywo i cicho, tak że niektóre tylko wyrazy był w stanie zrozumiéć, a człowiek który jéj towarzyszył, nie był, nie mógł być kim innym jak tylko panem von Elze! Parę minut stali jeszcze przed drzwiami, usłyszał wyraz pożegnania, Klementyna weszła do domu, a po chwili wolnym krokiem zamyślony odszedł i pan von Elze. On tutaj! wśród ciemnéj nocy! sam na sam z jego żoną! a ona, zwykle milcząca, teraz

tak wiele z takiem mówiła zajęciem!... A więc się ziściły najgorsze jego obawy, bezpowrotnie na zawsze, zniszczone zostało szczęście jego życia!

I ten silny mężczyzna ugiął się pod tym okropnym ciosem, dostał zawrotu głowy i aby nie upaść o mur oprzéć się musiał. Potem zerwał się nagle, w duszy jego zawrzała zemsta, pospieszył za swym rywalem, i pan von Elze śmiało szczęściu swemu zawdzięczyć może, iż w stanowczéj chwili, wśród ław piaskowych, gdy go przeciwnik już dosięgał prawie, na drodze swojéj napotkał strażnika. Kto ręczyć może czy téj okoliczności nie zawdzięczał życia swojego. Gustaw, nie miał wprawdzie broni przy sobie, ale namiętność czyniła go szalonym, był on niezwykłéj siły fizycznéj a w walce człowieka z człowiekiem schyrlałym, rozpustnem życiem zdenerwowany porucznik, zginął by zgnieciony w jego ręku, jak ginie lampart pod potężnemi lwa pazurami. Z sercem przepełnionem wściekłością i zwątpieniem, wsiadł Gustaw do swojéj łodzi i na *Orla* popłynął. W duszy jego zrodziło się silne postanowienie; poprzysiągł oszczędzić kobietę, którą pomimo wszystkiego kochał, uczuciem głębokiem, która była matką jego dziecięcia ale zemścić się i zemścić się krwawo na nędznym uwodzicielu.

Rano dnia następnego porucznik Gerhard w towarzystwie przyjaciela swego doktora Deusa udali się na *Orla*. Dowiedziawszy się o powrocie Gustawa, osobiście poznać go chcieli, przyczem porucznik Gerhard chciał się zapytać, czy na odpowiedzialność swoją pożyczy mu Gustaw, swojego parowca.

Podczas burzy, *Neptun* bardzo został uszkodzony i okazała się konieczna potrzeba bez zwłoki dostawić okręt do portu. Gustaw przyjął tych panów z największą uprzejmością, i chętnie parowiec dać obiecał, lecz pod warunkiem by do pojutrza zechciał poczekać porucznik, gdyż dnia tego miała być skończona na ten rok wyznaczona robota, którą byłoby trudno przerywać i odkładać.

Następnie zaprosił panów na przekąskę i na kieliszek wina, ci jednak zmuszeni byli odmówić bo na obiad przyrzekli powrócić na Nedur, i namawiali Gustawa by z nimi popłynął. On jednak ku wieczorowi dopiero przybyć obiecał, i prosił porucznika by to Klementynie oznajmił, a Pawłowi oddał listy które z miasta przywiózł do niego.

Gdy przybyli na Nedur zastali towarzystwo zwiększone o dwie osoby: byli to panowie von Elze i von Sanzen którzy przed chwilą przybyli. Gerhard powtórzył Klementynie zlecenie Gustawa, oddał listy Pawłowi i opowiadał całemu towarzystwu o wdzięczności swéj dla Gustawa, który z całą gotowością przyszedł mu w pomoc, dość że dzięki *Orłowi* pojutrze będzie się mógł puścić w dalszą drogę.

— Ja, jutro już wyjeżdżam, odezwał się pan von Elze, mój przyjaciel chce koniecznie bym u niego na wsi parę dni przepędził zanim te strony opuszczę, a najpóźniéj za tydzień muszę już być w nowéj méj ojczyźnie.

— Może i ty sąsiedzie zechcesz nas także opuścić? zapytała Hedda.

— W rzeczy saméj, odpowiedział Paweł składając listy, chcę właśnie prosić porucznika Helm, by mnie pojutrze do S. zabrał z sobą, w razie, gdybym jakiéj wcześniéj wyjeżdżającéj nie znalazł łodzi. Sądziłem że już odwiedziny moje, i tak za długie może, będę mógł jeszcze przeciągnąć, lecz oto, donosi mi pewna znakomitość literacka z którą jestem w korespondencyi, że wkrótce umyślnie by mnie osobiście poznać, przez S. przejeżdżać będzie. Może chcesz się pani przypatrzeć panno Heddo, autografowi dość znanéj osobistości w literackim i naukowym świecie? dodał, list jéj podając.

— Ma się rozumiéć, odparła Hedda oczyma list przebiegając; zetknięcie się dwóch takich ludzi nad-to jest ważnem zdarzeniem w świecie uczonych, by w obec niego nie miały zniknąć wszelkie inne względy. Widocznie wielkiemu człowiekowi niemało na tem zależy by poznał swego młodszego brata w duchu; wielkiemu człowiekowi trzeba zadość uczynić! i patetycznym ruchem ręki list Pawłowi oddała.

— Ach prawda! to już zanadto! zawołał poczciwy komendant, wszyscy kochani nasi goście chcą nas opuścić. Co to za wielki o którym mówicie? Powiedźcie mu niech do nas przyjeżdża, tutaj na Nedur do starego Waltera, komendanta sterników. Mój drogi Pawle, pisz do niego natychmiast! Nie puścimy naraz wszystkich naszych gości, nieprawdaż Heddo?

Lecz Hedda nie słuchała,, z zapałem deklamując w téj chwili:

„Denn auch Niobe, dem schweren
Zorn der Himmlischen ein Ziel,
Kostete die Frucht der Äehren
Und bezwang das Schmerggefühl

Co w prostéj prozie znaczy: że chociaż chcecie odjechać jutro czy pojutrze, to dzisiaj nie powinniście jeść zimnéj zupy.

Doktorze Schwarz czy zechcesz mi podać ramię.

Czarną kawę wypito w altanie, a potem grano i śpiewano w ogrodowéj sali. Dzień był prześliczny, błękitne niebo, orzeźwiające ciepłe powietrze, i morze małemi tylko marszczące się falami, tworzyły harmonijną całość spokojnego krajobrazu. Jaskółki latały wysoko, a wyżéj jeszcze skowronki, gnieżdżące się we wrzosach i nędznéj trawie Neduru. Takich dni pięknych i więcéj przeżył już Paweł na wyspie, lecz o tamtych myślał z wewnętrzną tęsknotą i liczył do chwil niepowrotnie minionych. Teraz rozmyślał o téj nieskończonéj, nieokreślonej rozkoszy owych dni, gdzie pod wpływem nowych osób i przedmiotów, był jakby wzniesiony w czyste balsamiczne powietrze, w którem pełniéj i silniéj oddychał, czuł piękniéj, myślał wzniośléj i jaśniéj; ale z tej błogości dzisiaj nic już nie pozostało! Wprawdzie otoczenie było to samo, też same pieśni którym się z tego samego miejsca przysłuchiwał, ta sama śpiewaczka wykonywała je słodkim, pieszczotliwym głosem, to żartobliwie i figlarnie, to marząco i poważnie, stosownie do ducha kompozycyi: ale dla niego zmieniło się wszystko, wszystko było inne, zupełnie inne! Skosztował owocu z drzewa doświadczenia, a każdy wie dobrze, że szacowne owoce tego drogocennego drzewa gorzko smakują w początkach. Do snu podobna idylla jego życia na wyspie już się skończyła!

W swawolnem, niepowstrzymanéj wesołości zachowaniu się Heddy, odgadywał jasno co się w jéj, duszy działo; spojrzenie, ulotne słowo, niezrozumiałe dla innych, dla niego były jednak pełne znaczenia i utwierdzały go w przekonaniu że szczególna dziewczyna kocha całym zapałem namiętnego serca pięknego odważnego marynarza, i tylko z dumy czy też z fantazyi zapiera się téj miłości.

— We mnie widzi onatylko odzwierciedlenie swojego ducha, i dlatego ceni mię i drogim jéj jestem. W owych sferach gdzie wolni jesteśmy od wszystkiego co ziemskie, uczucie takie wystarczyć może, ale dla ziemskiéj miłości nie jest ono dostatecznem. Z trudnością rozstanie się ze mną, ale dlatego mianowicie że obawiać się będzie uczynić mi przykrość, lecz raz zrzec się mnie musi, a wreszcie łatwiéj pożegna tego, dla którego mniéj bolesnem będzie pożegnanie, a tym właśnie ja jestem! wszakże nie bez korzyści czytałem Spinozę?

Ku wieczorowi przybył Gustaw. Był blady, posępny i pomimo że starał się być wesołym, Klementyna spostrzegła to zaraz, i rzekła z troskliwością zbliżając się do niego.

— Gustawie, ty chory być musisz.

— Ja, chory? odparł obojętnie, nigdy nie czułem się zdrowszym; i o swojego małego Pawełka zapytał. Za chwilę piastunka przyniosła dziecko; lecz gdy je wziął na ręce zaczęło płakać, i wyciągało rączki do ulubieńca swojego Gerharda, który stał obok.

— Weź je pan! rzekł Gustaw podając mu dziecię i przypatrywał się w milczeniu gdy natychmiast przestawszy płakać, uśmiechać się zaczęło, bawiąc się złotemi epoletami porucznika. Tłumiąc westchnienie odwrócił się Gustaw: Matka i dziecko, pomyślał w duszy, ach! to okropne, za miłość bez granic być nagradzanym obojętnością albo nienawiścią!

Klementyna widząc to ponure usposobienie męża, które starał się pokryć maską towarzyskiéj swobody, nie jeden raz miała na ustach: Gustawie chodź, muszę ci moje serce otworzyć! ale nie powiedziała tego, wstrzymywały ją duma i nieśmiałość. W duszy coraz było jéj smutniéj, umysł dręczyły ponure myśli; i czyżby sprawdzić się miała przepowiednia Pawła, że tym dwojgu ludziom, w stanowczéj dla nich chwili zabraknie odwagi?

Może Paweł byłby mógł jeszcze rozwiązać węzeł który się coraz bardziéj zaciągał, ale teraz właśnie sam nadto był sobą zajęty i tem co go osobiście dotykało, i na ten raz jedyny może nie było co liczyć na niego. Ów list był mu bardzo na rękę, gdyż tłomaczył spieszny jogo wyjazd; wziąwszy na bok Gustawa zapytał go czy jutro nie posyła łodzi do miasta.

— Czy chcesz jechać? spytał Gustaw.

— Muszę.

— A to, dlaczego?

— Przy sposobniejszéj chwili opowiem ci.

— Zostań jeszcze dni parę, proszę cię o to! dzisiaj jeszcze, najpóźniéj jutro, powiem ci dlaczego pragnę tego koniecznie.

— Czy już rozmówiłeś się z żoną Gustawie?

— Nie jeszcze.

— Nie zwlekaj Gustawie, tak bym pragnął aby jeszcze przed moim wyjazdem wszystko się wyjaśnić mogło między wami.

— Bądź pewny, spokojnie odrzekł Gustaw, wyjaśni się wszystko.

— Tego się spodziewam, odparł Paweł, ale w téj chwili całą uwagę swoją skierował na małą scenę odgrywającą się w ogródku, którą przez okno przy którem stali śledzić mógł doskonale.

Hedda wyszła przed chwilą by podlać swoje kwiaty; Gerhard patrzył na nią stojąc w otwartych drzwiach sali, a gdy już była na drugim końcu ogródka, skoczył ze schodków i w jednej chwili stał tuż przed zarumienioną dziewczyną.

— Heddo! wyszeptał prędko, ja wyjeżdżam pojutrze.

Hedda milczała, nie przerywając swego zajęcia i podlewając daléj kwiaty.

— Nie mogę odjechać nie dowiedziawszy się pierwéj czy jesteś jeszcze moją, Heddo! Ty wiesz że ciebie kocham i wiecznie kochać będę! Teraz nie odpowiadaj mi jeszcze Heddo, zawołał pospiesznie widząc że podniosła głowę chcąc mówić, jutro dopiero przyjdę po twoją odpowiedź! Postępuj szczerze, nie obawiaj się obrazić mnie odmową, to nie jest hańbą być odrzuconym dla takiego człowieka jakim jest Paweł! To mówiąc odwrócił się szybko i napowrót wszedł do ogrodowéj sali.

Podczas gdy Gustaw z Pawłem, Gerhard z Heddą a komendant z doktorem i panem von Sanzen w drugim oknie rozmawiali, pan von Elze przystą-

pił do Klementyny na sofie siedzącéj i rzekł stłumionym głosem:

— Chciałbym pani powiedzieć słów kilka... i wytłomaczyć powody...

— Nie obchodzą mnie wcale ani powody, ani tłomaczenia pańskie, odpowiedziała z zimną obojętnością młoda kobieta, powstając z kanapy i odchodząc do jadalnego pokoju gdzie właśnie stół nakrywano.

Pan von Elze zgrzytnął zębami. To nie do zniesienia! rzekł do siebie, dumna kobieta! obchodzi się ze mną jak z żakiem! o! pożałuje tego!

Wkrótce potem podano kolacyą. Rozmowa była ożywiona, bo każdy o ile mógł starał się pod zasłoną wesołości ukryć swój zły humor, niepokój, zawiść, albo też miłość i zazdrość; z wyjątkiem więc komendanta nikt w towarzystwie nie miał prawdziwie swobodnego umysłu. Bo pan von Sanzen i doktór Deus, jako powiernicy głównych osobistości w odgrywającym się tutaj dramacie, mieli także myśl swą zajętą. To też z okazyi wyjazdu jednych i rozłączenia się wkrótce zebranego tu towarzystwa, panowie więcéj niż zwykle kieliszkiem bawić się poczęli.

Klementyna skarżyła się na ból głowy, i niedługo po obiedzie wymknęły się obie panie. Panowie paląc, pijąc i rozmawiając siedzieli jeszcze przy stole, gdy niespodzianie pan von Sanzen zwracając się do pana von Elze zapytał:

— A propos Albercie, i cóż ty zrobisz z tem wyśmienitem winem które masz w piwnicy?

— O to się troszczyć nie warto, śmiejąc się odparł pan von Elze, nie ma go już więcéj nad pół tuzina butelek.

— Które mógłbyś mnie zostawić; rzekł tenże.

— Albo i mnie! wesoło zawołał komendant, moje reńskie właśnie się skończyło.

— Najlepszy sposób pogodzenia stron obu, rzekł doktór Deus który już pił dużo, wypić na miejscu przedmiot tak zaciętego sporu.

— I to byłoby dla mnie największą przyjemnością, zawołał pan von Elze, dotąd jeszcze nie miałem szczęścia powitać panów u siebie. Wprawdzie wskutek przygotowań do podróży w mieszkaniu mojem wielki panuje nieład, ale stół i siedm krzeseł znajdą się jeszcze.

Czy mogę panów prosić?

Paweł spojrzał na Gustawa i zdziwił się niemało widząc że z gotowością przyjmuje ten wniosek. Inni nie mieli powodu odrzucenia tak uprzejmych zaprosin i niezwłocznie opuszczono dom komendanta. Wśród pięknéj, spokojnéj nocy, kroczyło wesołe hałaśliwe nieco towarzystwo, ku mieszkaniu pana von Elze.

(*d. c. n.*)

Opis Ryciny Kolorowéj.

Suknia z materyi à la Pompadour. Vêtement *à panier* otwarte z przodu, z długą kamizelką; Vêtement i spódnica przybrana wyciętemi w zęby plisami z materyi, z pod których wychodzi oszyta koronką muślinową, drobno plisowana falbanka. U dołu falbana z nadgłówkiem po nad którym dana jest ufałdowana i drobno plisowana falbanka. Kapelusz krepowy ozdobiony bukietem kwiatów i koronkowemi końcami.

Suknia z materyi adamaszkowéj i gładkiéj. Stanik, zwierzchnia tunika, równie jak piękna draperya *á panier* wychodząca z pod długiéj kamizelki, są odrobione z jasnéj, adamaszkowéj materyi, druga zaś, spadająca z pod niéj draperya i suknia z gładkiéj, ciemnej materyi. Piękna frendzla z jasnéj szneli i ciemnego jedwabiu otacza obie draperye. Garnirunek spódnicy przepinany kokardami z jasnéj wstążki. Kapelusz ze świecącéj słomki przybrany gerlandą z kwiatów i długiemi końcami ze wstążki.

ODPOWIEDZI OD REDAKCYI.

Panu K. K. W każdéj poezyi warunkami niezbędnemi: jest treść godna podniesienia: przeprowadzenia jéj i z obrazowanie treściwe nietrywialne, a wreszcie forma czyli szyk sława o ile można wytworny. Jeżeli rzecz może zainteresować tylko małą liczbę osób, w obrazowaniu trafia się wiele pospolitości i rymy naciągane a raczéj myśl do rymów naginana, to w takim razie wiersz nie ma żadnéj wartości: gdy mu brakuje jednego z tych warunków jest lichotą, partactwem. Do pisana wierszy zwykle rwą się młodzi i gdy im się uda coś nieźle nakreślić, to są niemal pewni, że parnas otworzył dla nich podwoje. Dziwić się temu nienależy: prozą bez treści pisać nie można, wierszując można jak to mówią, bajać i bajać i jakoś na pozór wyjdzie to i niejednemu spodoba się. Ale nie będzię to ani poezyą ani rymarstwem tylko bajdarstwem. Wierszyki nadesłane należą do téj kategoryi: szanowny pan w liście zdanie to zupełnie podziela, spełniając zatem życzenie bezwzględnéj prawdy, radzimy młodemu autorowi uczyć się i czytać wiele aby poznał jakto u nas już pisano i jak piszą, a w ówczas sam najlepiéj oceni wartość swojéj dzisiéjszéj pracy o któréj wartości tak jest przekonany.

Od Redakcyi.

Tygodnik Mód i Powieści jak i Przyjaciel Dzieci, w trzecim kwartale 1879 r. wychodzić będą pod temi samemi co dotąd warunkami. Upraszamy o wczesne nadsyłanie należytości prenumeracyjnéj *wprost do Redakcyi*, gdyż tylko tym jedynie sposobem dalsze przesyłanie pism bez zwłoki następować może.

Prenumerata wynosi:

NA TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

w Warszawie **Kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . . rs. 2 kop. 50
Półrocznie . . . rs. 5
Rocznie . . . . rs. 10

NA PRZYJACIELA DZIECI

w Warszawie **Kwartalnie — k. 75.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . . . . rs. 1.
Półrocznie . . . . . rs. 2.
Rocznie . . . . . . rs. 4.

Nizką tę cenę pomimo zwiększenia kosztów wydawnictwa, utrzymujemy bez zmiany, aby prenumeratę pisma uznanego już w swéj użyteczności, zrobić przystępną dla każdéj rodziny

Adres do **J. K. Gregorowicza, Redaktora Tygodnika Mód i Powieści i Przyjaciela Dzieci, w Warszawie** *ulica Chmielna Nr. 1530 (20 nowy).*

Tygodnik Rolniczy, pismo wszystkim gałęziom rolnictwa poświęcone, którego celem jest popularyzowanie nauki rolniczéj, zaznaczanie wszelkiego postępu w produkcyi rolniczéj i zwierzęcéj, jak niemniéj zaznajamianie ogółu ze stanem ekonomicznym kraju w kwartale III roku 1879 wychodzić będzie pod temiż co dotąd warunkami pod głównym kierunkiem J. K. Gregorowicza.

Prenumerata wynosi:

NA TYGODNIK ROLNICZY

w Warszawie **Kwartalnie rs. 1 kop. 20**
Półrocznie „ 2 „ 40
Rocznie „ 4 „ 80

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie rs. 1 kop. 50
Półrocznie „ 3 „ —
Rocznie „ 6 „ —

Przesyłając pieniądze prosimy adresować: do *Redakcyi Tygodnika Rolniczego w Warszawie ulica Chmielna N. 20.*

Przyjaciela Dzieci Nr. 26 wyszedł z druku i zawiera:

Pogadanki z Ojcem (z drzeworytem). — Bajka i wiersz (wiersz). — Figiel wiarusa (komedya).—Rycerze w orszaku królewskim (z drzeworytem). — Czyny nauczające. w Dodatku: Poseł polski.

Prenumerata wynosi kwartalnie:

w Warszawie kop. 75 — z przesyłką pocztową rs. 1.

Adres: Do ***J. K. Gregorowicza.*** *Ulica Chmielna Nr. 1530 (nowy 20).*

Tygodnika Rolniczego Nr. 25 wyszedł z druku i zawiera:

O ważności wykazywania przy urządzaniu lasów właściwego dochodu. — Przegląd pism rolniczych zagranicznych. Rzepak zimowy. Krowiarnie. Tępienie ognichy, modraku i maku. Żyto świętojańskie. — Kronika rolnicza.—Wiadomości krajowe i handlowe.

Prenumerata wynosi:

w Warszawie, kwartalnie rs. 1 kop. 20.

na Prowincyi, „ rs. 1 kop. 50.

Adres: Do Redakcyi ***Tygodnika Rolniczego*** *w Warszawie Ulica Chmielna N. 1530 (20).*

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.



ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 12 Іюня 1879 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 26, r. 1879.

SZALONE OŻENIENIE.

przez

M. A. Fleming.

przekład z Angielskiego

przez J. B.

(Ciąg dalszy).

— Mam nadzieję że nie zbraknie mi sił do spełnienia obowiązku... codziennie proszę o to Boga, mówiła spokojnie Fanny. Gdyby szczęście Eryka zależało od tego, gdyby kochał mnie rzeczywiście, wtedy, ponieważ milczenie moje w tych paru ostatnich latach można było wziąść za zezwolenie, nie wahałabym się ani chwili choćby przed największą ofiarą... Ale on mnie nie kocha... i nie zdolny jest kochać kogokolwiek prócz siebie... Daruj mi, lady Dynely, ale trzeba abyś ty nawet usłyszała czasem słowa prawdy odnoszące się do Eryka. Mogłabym kochać go jak brata... nawet jak ty sama chlubić się jego pięknością ale gdyby kiedykolwiek został on moim mężem... wtedy nienawidziłabym go.

— Fanny!

— Słowa moje drażnią cię milady, i sprawiają ci przykrość, a jednak są najzupełniéj prawdziwe. Eryk znudziłby się mną zanim by upłynął tak zwany miodowy miesiąc... jeźli się pobierzemy, będzie to błąd straszny i zgubny, a jednak jeźli wszyscy będziecie mnie do tego zmuszać, cóż mam robić, pomimo méj woli będę zniewolona uledz...

— Jesteś romantyczna, Fanny, dla ciebie trzebaby jakiegoś bohatera, rycerza jak Bayard, kochanka jak Lancellot; ale, kochane dziecię, tacy już obecnie nie pojawiają się na świecie. Już od dawna, bardzo dawna nie ma podobnych im w Anglii, wyszli z mody zarówno jak turnieje i igrzyska. Wiem że pójdziesz za Eryka i wpływem swoim pokierujesz go i podniesiesz; zasiądzie w parlamencie, będzie w nim przemawiał, stanie się wzorowym mężem, czule kochającym swoją prześliczną żonę, która będzie najszczęśliwszą kobietą w Anglii. Oh! Fanny, zostań żoną mego Eryka! tak kocham was oboje, że chyba umrę ze zmartwienia jeźli się nie pobierzecie.

— A ja umrę jeźli się pobierzemy, odpowiedziała z gorzkim uśmiechem Fanny. Nie mówmy już o tem, moja matko... Obiecaliśmy odwiedzić państwa Vere, mamy teraz tydzień swobodny, a ileż to zmian zajść może w przeciągu tego czasu. Mam najgłębsze przekonanie że nigdy nie zostanę lady Dynely.

Rozdział VIII.

Kto ona?

Widownią jest stary ogród otaczający stary dom, czas, godzina przed zachodem słońca, godzina w której najrozkoszniejsze wonie roztaczają się w powietrzu, osoby: młodzieniec i dziewczyna; nazwiska ich: Terencyusz Dennison, oficer 21-go pułku dragonów J. K. Mości, i Iza Higgins, ósma z rzędu córka wielebnego Williama Higgins, wikaryusza w Starling i zarazem „piękność rodziny."

Piękność?... No, to rzecz względna. Jeźli ktoś lubi cerę biało-różową, ósma z rzędu córka pana Higgins może się nią pochwalić; ma także małe koralowe usteczka a obok nich ładne dołeczki. Kto lubi nizkie nic nie mówiące czoła, niebieskie oczy z dziecinnem, jakby zadziwionem spojrzeniem, mglistą aureolę jasnych bardzo blond włosów i okrągłą nic nie wyrażającą brodę, znajdzie to wszystko u panny Higgins. Jeźli kto pragnie figurki szczupłéj i wciętéj którą możnaby objąć ręką, drobniutkie kształty, słowem postać wiotką jak gałęź lilii, ten znajdzie swój ideał w pannie Izie. Jest to ładne niby dziewczę, ale w całéj postaci jest coś czczego, gołąbkowatego, czułostkowego, są przecież mężczyźni którym takie właśnie piękności się podobają. Rozumu nie szukaj u niéj bo go ma cień zaledwie znajomości świata ani odrobiny. Słowem była to jedna z tych istot które są ideałem mężczyzn nie lubiących kobiet wykształconych, mających własne zdania i przekonania, gdyż według nich są to przymioty właściwe wyłącznie mężczyznom.

Terry Dennison, zacny, szlachetny Terry, był wielbicielem i niewolnikiem Izy Higgins.

Miała obecnie lat siedemnaście, a Terremu zdawało się że ją zawsze ubóstwiał, tak ubóstwiał, bo ten tylko wyraz oddaje wiernie uczucia jego, od czasu jeszcze gdy miała zaledwie lat siedem. Pomimo swój gołębiéj niewinności, Iza wiedziała że jest ładna, i cieszyła się tem równie jak jakaś zalotna kobieta.

Wszak od pieluszek pieszczono ją, chwalono, dogadzano, za jéj wilgotne błękitne oczy, jaśniutkie blond włosy, maleńkie rączki i nóżki; wszak wiedziała dobrze jak zaniedbywano, łajano nieraz jéj starsze siostry, a ją zapychano ciastkami i cukierkami? Więc myślała sobie: jak dziś tak zawsze być powinno i będzie, gdyż tak już zapisano w przeznaczeń księdze. Siedmiu kopciuszków, to jest starsze jéj siostry pracowały w domu i w kuchni krzątały się, szyły, łatały, Iza, jakby polna lilja, nie zajmowała się, nie kłopotała niczem; tak teraz jak zawsze same tylko słodycze i przyjemności życia miały być jéj udziałem; wszak była śliczną złotowłosą blondynką z błękitnemi oczami, więc należała do liczby istot uprzywilejowanych, niech męczą się i pracują kobiety brzydkie, ze spłaszczonemi nosami i żółtą zwiędłą cerą, ale ona!...

Wszak niezadługo już pewnie zostanie żoną Terrego, a przez to będzie spowinowaconą z arystokratycznemi rodzinami. Może owa wielka pani będąca opiekunką i przyjaciółką Terrego, raczy i nią się zająć i nietylko przyjmować u siebie ale wprowadzić w wysokie sfery społeczne... a kto wie, może nawet zechce przedstawić ją u dworu, a w takim razie świat rojeń zamieniłby się dla niéj w rzeczywistość.

Poszedłszy za Ferre'go, pozna owego świetnego i pięknego lorda Eryka, o którym on tyle jéj rozpowiadał, pozna dystyngowaną i śliczną pannę Forrester która miała zostać jego żoną—a kto wie, może ona podoba się obojgu... Oto jak roiła Iza Higgins przechadzając się po ogródku wikaryatu z poezyami Tennyson'a lub Ovena Meredith w ręku, oto przyszłość o jakiéj marzyła.

Choć Terry dotąd jeszcze nie oświadczył się stanowczo, wiedziała jednak że ją kocha i pragnie pojąć za żonę, bo każda prawie, choćby najniewinniejsza dziewczyna potrafi, gdy zechce, czytać w sercu mężczyzny, jak w otwartéj książce—wiedziała tedy że Terry kocha ją i kochał zawsze, a i ona bardzo, bardzo go lubiła. Wprawdzie nie była w nim zakochana, ale przekładała go nad wszystkich znanych mężczyzn, a potem był oficerem dragonów, co także nie mały wywierało na nią urok.

Szkoda tylko, myślała z żalem, że Terry ma rudawe włosy, żaden z bohaterów czytanych przez nią romansów, nie miał czerwonych włosów—ale cóż robić nie ma przecie doskonałego szczęścia na téj płaczu dolinie, tak mówili jéj rodzice chcąc uleczyć z sentymentalności ładną jéj główkę. Chyba tylko istoty wybrane, należące do wyższego świata,—jak naprzykład panna Fanny Forrester, mogą znaleść mężów pięknych jak bogowie Grecyi, utytułowanych i bogatych. Mniéj szczęśliwi śmiertelnicy, muszą poprzestawać na tem co im los udzielić raczy i przyjąć z wdzięcznością jego dary. Zresztą położenie żony oficera dragonów posiadającego prócz pensyi pięćset funtów rocznie, wydawało się także dość świetnem pięknéj córce wikarego.

Ale dla czego Terry nie oświadczył się jeszcze? Doniósł jednak listownie o swém szczęściu, o niewyczerpanéj dobroci lady Dynely, i tak Wielebny pastor jak jego żona, cieszyli się że przyszłość Izy była już zapewniona.

Iza przyjęła tę wiadomość z uśmiechem zadowolenia, i z pewną przyjemnością patrzyła na kwaśne i zazdrosne spojrzenia i miny siedmiu starszych od siebie panien Higgins, już zwiędłych lub więdnących. Terry oznajmił że wkrótce przybędzie.

„Zdaje mi się Izabelo, drogie moje dziecię, rzekła pani Higgins, że możemy już pomyśleć o wyprawie; zajmie to zawsze dość czasu, a niepodobno nawet wątpić że przyjedzie tu po to jedynie aby się oświadczyć o twą rękę."

Zabrano się więc do roboty i przysposobiono już niektóre rzeczy, kiedy w pierwszym tygodniu sierpnia zjawił się w Starling oczekiwany niecierpliwie oficer dragonów. Z jego oczu i twarzy łatwo można było wyczytać jak wielką mu to sprawia radość że się znów wśród nich znajduje. Wpatrywał się w Izę pełnym ognia i miłości wzrokiem, i gdyby wiedział że go za to czekają tortury, nie byłby wstanie oderwać oczu od jéj ładnéj twarzyczki, przez pierwsze przynajmniéj kilka minut. Póżniéj chodził za nią wszędzie jak jéj własny cień; jego spojrzenia, ruchy i wszystko co czynił zdradzało miłość, ale nie wyrażał jéj nigdy słowami. Rumienił się jeżeli nagle zwróciła na niego oczy, drżał skoro niespodziewanie przemówiła do niego, a gdy mu podała białą swą rączkę, przyjmował ją z tą nieśmiałością właściwą ludziom silnéj budowy ciała, jeżeli są obdarzeni gorącem sercem i zostają pod wpływem prawdziwego uczucia. Nigdy jednak nie wyjawił wyraźnie swych uczuć; zdawało się że usta jego nie są zdolne wypowiedzieć tego prostego zapytania: „Czy chcesz zostać moją żoną, miss Izabelo Higgins?"

Pani Higgins zaczęła już patrzyć na niego krzywo przez swe okulary, a siedem siostr starszych trochę szyderskie rzucały na Izabelę spojrzenia, ona zaś sama zaczęła co raz szerzéj otwierać z zadzi-

wienia swe turkusowe oczy, i zadawać sobie pytanie z jakiego powodu Terry jest tak nieśmiałym i tak pełnym uszanowania dla niéj; już miał nazajutrz wyjechać a nie oświadczył się jeszcze.

Była to właśnie rocznica urodzin Izy, i zamierzono ją obchodzić uroczyście: najprzód miano się bawić w kroket w drugim ogrodzie za domem gdzie zwykle suszono bieliznę; po tem będzie herbata w cieniu jabłoni a następne tańce przy świetle księżyca.

Goście już się zaczęli schodzić, ale Terry uważał że pani Higgins i siedem jéj córek mogą ich przyjmować i bawić bez pomocy Izy; wziął więc za rękę swoją ukochaną, i wyszedł z nią na ostatnią przed wyjazdem przechadzkę.

„Odjeżdżam jutro i nie wiem jak długo mnie tam zatrzyma lady Dynely, pozwól mi więc, dodał patrząc na nią, napawać się widokiem moich róż i niezapominajek, dopóki jestem przy tobie.

— Zdaję mi się, Terry, rzekła ósma panna Higgins z nadąsaną minką, że jesteś zbyt nieodstępnym i potulnym towarzyszem lady Dynely, możnaby powiedzieć że jak jéj ulubiony charcik: na jéj rozkaz biegasz, szukasz i przynosisz. Sądzę że jesteś już w tym wieku iż nie powinienbyś na to pozwolić aby się obchodzono z tobą jakby z jakim niedorosłym chłopcem."

Iza może pierwszy raz w życiu wyrażała się tak stanowczo i energicznie, ale tegoż samego dnia właśnie matka powiedziała jéj, że powinna koniecznie, postarać się o to aby Terry oświadczył się wyraźnie, bo w przeciwnym razie ojciec będzie musiał zapytać go o jego zamiary.

Twarz Terrego poczerwieniała zrozumiał wymówkę i czuł że była zasłużona. Miłość może być ślepą, ale znów nie do tego stopnia aby już nic nie widziała. Spostrzegł czego od niego żądano w domu wikarego; co nawet jego ulubiona usłyszéć pragnęła, i zrozumiał że ściąga na siebie ich niezadowolnienie nie czyniąc tego co z całéj duszy radby uczynić. Zasługiwał na te wyrzuty i uznawał się winnym. Cóżby to było gdyby Iza wiedziała że to lady Dynely kazała mu milczéć jeszcze? Jakżeby nim pogardzała! I pierwszy raz w życiu przyszło mu na myśl że nie było to bardzo szlachetnie ze strony téj najzacniéjszéj z kobiet że wymogła na nim podobną obietnicę.

„Nie trzeba mi było tu przyjeżdżać pomyślał, dopóki mi nie wolno wypowiedziéć wszystkiego co czuję i czego pragnę. O! w takim razie moja ukochana dowiedziałaby się zanim zniknęłyby ostatnie promienie zachodzącego słońca, że najdroższem, najgorętszem życzeniem mego serca jest, abym mógł ją nazwać moją żoną.

Była tak milutka, taka śliczna przy różowawych odbłyskach kryjącego się słońca.

„Ale, pomyślał Terry, w któréjże chwili dnia ona nie jest zachwycającą?

Miała na sobie białą muślinową suknię, a należała do rzędu tych wiotkich i eterycznych istot, które zdają się do tego stworzone aby nosić białe przejrzyste i powiewne szaty. Przy staniku miała bukiecik z róż, róże w ręku, i maleńki, zachwycający kapelusik na głowie. Kilka sznurów imitacyi pereł otaczało jéj białą szyję i spadało na stanik, a błękitna wstążka mieszała się wdzięcznie ze spadającemi na ramiona blond włosami.

Łagodne promienie zachodzącego słońca padały na jéj piękną twarzyczkę, malutka i biała jak śnieg rączka wspierała się na ramieniu Terrego, a jéj łagodne oczy zwrócone na niego z wyrazem tkliwéj wymówki i oczekiwania, zdawały się mówić:

„Wiesz że cię kocham... ja zaś pewną jestem że mnie ubóstwiasz: czemuż więc nie powiesz tego wyraźnie aby uszczęśliwić mamę i mnie? Dosyć ci objawić twoje życzenie aby zostało spełnione... Bardzo to źle z twéj strony że tak postępujesz.

Terry widział i rozumiał co mówiły jéj oczy, i przeklinał uczynione przez siebie przyrzeczenie które zamykało mu usta.

„Słuchaj Izo, odezwał się nakoniec, jest coś takiego co pragnę ci powiedziéć...

Serce Izy uderzyło tak silnie że aż zadrżał bukiecik z róż przypięty do stanika, a po różowych usteczkach przesunął się uśmiech którego powstrzymać nie mogła.

„Ale teraz jeszcze powiedziéć nie mogę...

Zamilkł, bo uśmiech z ust zniknął, a w oczach zabłysnął gniew i przestrach.

„Nie mogę ci powiedziéć teraz, dodał Dennison śpiesznie, bo... bo przyrzekłem; bo i mnie także mają coś powiedziéć, i muszę odjechać i usłyszéć to zanim wrócę do ciebie, i powiem to co tak powiedziéć pragnę.

Mówiąc to patrzył na nią błagającym wzrokiem; najniedomyślniejsza w świecie kobieta musiałaby zrozumieć znaczenie słów jego, ale Iza przybrała minkę niewiniątka, i pomimo że silny rumieniec pokrył jéj lica, i że pomimowolnie spuściła oczy, odpowiedziała oskubując nielitościwie róże które trzymała w ręku.

„Nie rozumiem wcale tego co mówisz, panie Dennison, ani też po co przyszliśmy tutaj, a mam szczerą ochotę grać w kroket i sądzę że wszyscy zaproszeni już przybyli.

— Więc nie chcesz mi przyrzec Izo?..

— Cóż ci mam przyrzec Terry?

— Że czekać będziesz dopóki nie wrócę... że... że nie zapomnisz o mnie...

Panna Higgins roześmiała się. Młoda dziewczyna odzyskuje natychmiast odwagę i swobodę obejścia, skoro niepewność lub wewnętrzny niepokój czynią jéj kochanka nieśmiałym i niezgrabnym.

— Że będę czekać do twego powrotu?.. doprawdy zabawny jesteś Terry, nie mam przecie zamiaru uciec ztąd nigdzie. Że nie zapomnę o tobie?.. Doprawdy byłoby to niepodobieństwem choćbym nawet chciała; bo siostry moje mówią o tobie od samego rana aż do wieczora? Chodźmy już grać w kroket.

— Zaczekaj jeszcze chwilkę, Izo. Kupiłem dziś pierścionek ten dla ciebie; noś go jako dowód twéj życzliwości dla mnie aż do mego powrotu a wtenczas zamienię go na inny, z brylantami.

Mówiąc to wydobył z kieszeni małe pudełeczko, z którego wyjął pierścionek z turkusami i perłami, jakby umyślnie zrobiony do ozdobienia tak malutkiéj rączki, i włożył go na kształtny paluszek Izy.

— Noś go Izo, powtórzył z wyrazem najżywszej czułości, jako dowód twego przywiązania do mnie.

Terry przycisnął do ust drobną rączkę, Iza spojrzała na niego i zrozumieli się, i nie potrzebują już mówić nic więcéj. W gruncie Iza jest dobrą dziewczyną i nie ma zamiaru igrać z sercem swego nieśmiałego wielbiciela. Wszystko będzie dobrze; Terry jest bardzo miłym chłopcem, i ona powie ojcu aby już nie pytał go jakie ma zamiary.

Zatrzymali się jeszcze chwilę. W dali przed nimi zachodzące słońce zdawało się zapadać w morze, a purpurowa jego tarcza, odbijająca się w stawie ukrytym wśród otaczających jego brzegi drzew i krzaków, wyglądała jak wielka plama krwi.

Jakie to piękne... godne pióra Tennyson'a... powtarzała w myśli panna Higgins, ale duszą była już wśród grających w kroket.

„Wróćmy już do domu Terry," chciała powiedziéć po raz trzeci ale zatrzymała się spojrzawszy na Terrego.

Patrzył prosto przed siebie z natężoną uwagą, a twarz jego wyrażała powątpiewanie i radość. Iza zwróciła oczy w tę samą stronę, i spostrzegła mężczyznę zbliżającego się ku nim.

„To on! zawołał Terry z radością. Tak to on!

— Kto taki, Terry?

— Eryk. Dziwiło mnie to właśnie że mnie dotąd nie odwiedził. Bawi już od pięciu dni u sir Filipa Carruthers. Tak, tak, to Eryk.

— Eryk?

— Tak, Eryk... lord Dynely, wszak go znasz... jeżeli nie osobiście to ze słyszenia, bo tak często mówiłem ci o nim.

Rzeczywiście panna Higgins słyszała o nim bardzo wiele, dla tego też z żywszém biciem serca zaczęła przyglądać się młodemu lordowi, którego Terry Dennison przedstawiał jéj zawsze jako najpiękniejszego młodzieńca w całéj Anglii.

Panna Higgins patrzyła więc z najgłębszą uwagą. Ścieżką zbliżał się wolnym krokiem młody człowiek liczący najwyżéj dwadzieścia dwa lat, blondyn z prześlicznemi błękitnemi oczyma, i zgrabnemi wąsikami, który jednak widocznie starał się nadać sobie minę i naśladować ruchy stuletniego starca, któryby już siedemdziesiąt lat temu wyczerpał wszelkie rozkosze świata. Od téj chwili przyszłość tych trzech osób uległa zupełnéj zmianie.

„Szczerze ci jestem wdzięcznym, kochany Eryku, że nie zapomniałeś o mnie, zawołał Terry, z twarzą tak rozpromienioną, jakby sam widok nowoprzybyłego sprawiał mu najżywszą radość. Pozwól abym cię przedstawił pannie Izabeli Higgins. Izo, mój najlepszy przyjaciel, towarzysz moich lat dziecinnych, lord Dynely.

Lord Dynely uchylił kapelusza i ukłonił się z tym wdziękiem którym odznaczał się zawsze. Omdlewające przed chwilą jego oczy, zabłysły ogniem jak oczy wojownika gdy przeczuwa bitwę. Terry powiedział mu że jest ładna... Ładna! Terry jest prawdziwym barbarzyńcą, Gotem, Wandalem, to zachwycająca, idealnie piękna dziewczyna!

— Czy umiesz dobrze grać w kroket Eryku? zapytał Dennison. Dziś rocznica urodzin Izy. Urządzamy partyę kroketa i potrzebujemy dobrych graczy. Iza jest mistrzem w téj sztuce i niezmiennie we dwie minuty otrzymuje nademną zwycięztwo.

— Jeżeli panna Higgins zechce na to zezwolić, będę się uważał za nader szczęśliwego, odpowiedział Dynely zwracając na nią spojrzenie które już tyle uczyniło ofiar, a które też i teraz wywarło swój skutek, przyśpieszając uderzenia serca Izy, i wywołując na jéj twarzyczkę silny rumieniec.

— O! najchętniéj, dziękuję panu.

Było to wszystko co zdołała odpowiedziéć, zmieszana obecnością młodego lorda. Pomimowolnie wsparła się silniéj na ramieniu Terrego, i nabrała przekonania że czas półbożków nie przeminął jeszcze, skoro ten zachwycający *nobleman* żyje na świecie.

— Nie bój się, Izo, odezwał się głośno i wesoło Terry, Eryk nie jest tak strasznym jak się wydaje. Czy w czasie twego pobytu w tych stronach odebrałeś wiadomość od matki lub Fanny?

Eryk rzucił na niego pełne niezadowolenia spojrzenie. Doprawdy, Terry nie ma wcale taktu; czy to właściwa pora mówić o... Fanny Forrester.

— Dziś rano odebrałem list od matki, odpowiedział. Poleciła mi abym ci przypomniał że obiecałeś jéj wrócić wkrótce, i dla tego właśnie chciałem widzieć się z tobą. Gdybym był wiedział, dodał rzucając spojrzenie na Izę, że mieszkasz w raju, już dawno pośpieszyłbym do ciebie.

Wrócili do domu wikarego; lord Dynely został przedstawionym panu, pani, pannom Higgins, a na-

stępnie gościom i wprawił w zachwycenie wszystkie kobiety, swoją pięknością, wdziękiem obejścia i ułożenia, oraz swą uprzejmością.

Tak, grał w kroket, i grał doskonale: Iza i on wyszli zwycięzcami ze wszystkich partyi. Po krokecie bawiono się w drugą grę klasyczną zwaną *Ciotka Sally*, a przez ten cały czas Eryk był ciągle obok Izy, i po setny raz zapalna jego wyobraźnia płonąć zaczyna, głowa się zawraca, piękna, nie znana mu dotąd twarzyczka wprawia go w zachwycenie.

„Anni Laurie musiała być do niéj podobną, pomyślał, tkliwa, łagodna, niewinna gołąbka.

Szczególna rzecz, właśnie ta jéj dziecięca niewinność zachwyca go najwięcéj.

Udano się na herbatę zastawioną pod jabłoniami. Obrus śnieżnéj białości, filiżanki z porcelany szaréj z niebieskim, przestarzałego kształtu, gorąca herbata, ciasta pieczone w domu i konfitury. Eryk który wyszedł z domu przed obiadem, poświęca się mężnie na męczeństwo: pije herbatę, je ciastka i konfitury; usługuje pannom, prawi im komplimenta i bawi rozmową.

Zanim jeszcze skończono herbatę, księżyc ukazał się na niebie, było to hasłem do rozpoczęcia tańców przy dźwięku fortepianu, staruszka, na którym już ośm panien Higgins egzercytowało się w muzyce. Następnie wrócono do salonu, gdzie tańczono jeszcze czas jakiś, to jest do godziny jedenastéj o któréj rozeszli się goście.

— A więc wyjeżdżasz jutro, Dennison'ie, zapytał lord Dynely, ściskając go przy pożegnaniu za rękę.

— Tak, a ty?

— Ja pozostanę jeszcze parę dni. Carruthers prosi mnie o to, a dom jego jest bardzo miły. Masz tu śliczny garnizon Terry... prawdziwy seraj piękności.

— Jakże ci się ona zdaje? zapytał Dennison.

— Ona?... Kto taki?... Jést ich tu tak wiele. Aha! mówisz zapewnie o królowéj dzisiejszéj uroczystości. Co do niéj, jest równie piękna jak najpiękniejsze z kobiet które kiedykolwiek widziałem. W ogóle, nie mam upodobania w wiejskich pięknościach, ale ta jest tak miła i powabna jak rozkwitająca róża. Kiedyż będę ci mógł powinszować, Terry.

— Mam nadzieję że wkrótce, odpowiedział Terry z radosnym uśmiechem i spojrzeniem.

Lord Dynely uśmiechnął się jakoś dziwnie i odszedł.

— Iza spostrzegła idącego do bramy i poszła za nim. Jakiego w takim razie używa sposobu to trudno byłoby powiedzićć, dosyć że posiadał jakiś wyjątkowy dar przyciągania ku sobie, i teraz téż odprowadziła go aż do bramy i jeszcze przez sztachety podała mu rączkę drżącą, rączkę na któréj był pierścionek Terrego. Uścisnął ją z czułością, przez chwilę zatrzymał w swéj dłoni, i zapytał pochylając przed nią piękną swą głowę:

„Czy mogę przyjść tu jeszcze, Izabelo?

Imię to pomimowolnie nasunęło mu się na usta, było tak właściwe dla niéj, a zdawało mu się niepodobieństwem nazwać tak śliczne dziewczę panną Higgins. Odpowiedź jéj mógłby tylko powtórzyć księżyc lub lord Dynely, ale musiała być zadawalniającą, bo uśmiech błąkał się jeszcze po ustach Eryka kiedy wrócił do swego pokoju.

„Jest to tak śliczne dziewczę że już dawno nie widziałem nic równie pięknego, pomyślał; i ma pójść za takiego draba jak Terry... To być nie może... to zbrodnia prawie! Jak ona łatwo się rumieni, jak jest wrażliwą i nieśmiałą! Tak rzadko teraz można widzieć coś podobnego, że sama nowość pociąga ku sobie. Jest to jedno z tych serc tkliwych i kochających, które można równie łatwo złamać, jąk otrząsnąć popiół z tego cygara.

Była już dwónasta kiedy wrócił do pałacu, nie położył się jednak. Usiadł, pali papierosy jeden po drugim i rozmyśla... dziwna rzecz... on rozmyśla! W ogóle lord Dynely nie oddaje się temu zajęciu, ale ten wieczór stanowi wyjątek. Następstwem tego rozmyślania było postanowienie napisania listu. Rzucił papieros, usiadł przy biórku i skreślił co następuje.

Pałac Carruthers, 5 sierpnia 1870.

Droga Fanny!

Przez te kilka dni rozmyślałem głęboko nad tem co mi powiedziałaś, i w końcu nabrałem przekonania że masz słuszność; byłoby niesprawiedliwie i nieszlachetnie zmuszać cię do spełnienia układu zawartego bez twego zezwolenia. Kocham cię szczerze i zawsze kochać będę, ale nie chcę cię zmuszać abyś mi oddała rękę skoro serce twoje nie zezwala na to. Nie, droga moja Fanny, choćby mnie to najwięcéj kosztować miało... a czyż potrzebuję mówić jak wielkie sprawi mi to cierpienie? zrzekam się wszelkich praw do twéj ręki. Jeżeli tylko nie możesz mi odpłacić równem mojemu uczuciem, nie będę cię zniewalać do zawarcia związku nie uświęconego przez miłość. Mogę być nieszczęśliwym, ale ty zostaniesz wolną.

Teraz dopiero zrozumiałem że byłem samolubem, odwołując się do praw moich, i na przyszłość nie przypomnę ci ich już nigdy, jeżeli nie pozyskam twéj miłości. Odpowiedz mi dopóki tu jestem... będzie to dla nas mniéj przykrem niżeli ustna rozmowa. Jeżeli mnie kochasz, przywołaj mnie do siebie, a pojmujesz zapewnie z jaką pośpieszę radością. Jeżeli przeciwnie czujesz że nie zdołam pozyskać twego serca, pochylę z pokorą głowę, i poddam się twemu wyrokowi.

Szczerze cię kochający

Eryk.

Lord Dynely pieczętując ten list podziwiał szlachetność swych uczuć, swoją wspaniałomyślność i gotowość do ofiar. Nie tak łatwo byłoby znaléźć człowieka zdolnego wyrzec się z tak heroiczną bezinteresownością ukochanéj przez siebie kobiety, i skazać się na cierpienia dręczące go odtąd nieprzerwanie aż do grobu. Nie, nie, mało kto potrafiłby zdobyć się na taką odwagę, i Fanny uznać to musi. Tylko że jest to dziwna dziewczyna, i to niepokoiło go trochę; miał jednak nadzieję że nie zechce okazać się równie wspaniałomyślną jak on, i nie będzie obstawać bądź co bądź, przy doprowadzeniu do skutku raz ułożonego związku.

List jego odszedł rannym pociągiem; Terry wyjechał w południe, a wkrótce po tem lord Dynely zapukał do drzwi wikaryatu.

Córki państwa Higgins były wszystkie przystojne, wesołe i dość jeszcze młode, z wyjątkiem trzech najstarszych, bardzo wychudłych i już podstarzałych; ale Iza wśród nich wyglądała jak brylant między zwyczajnymi kamykami. Eryk osądził że zyskiwała jeszcze na bliższem poznaniu. Śpiewała dla niego miłym, mezzo-sopranowym głosem, spacerowała z nim po ogrodzie, i pączek róży odpięty od swego stanika przypięła mu drżącą rączką do tużurka; słowem była tak zachwycającą że jego Wielmożność przyszedł znów następnego dnia.

Wieczorem przyniesiono mu list; zadrżał spojrzawszy na niego. Był to śmiały i pewny charakter Fanny i pieczęć z herbem Forrester'ów, a koperta spora, kwadratowa wyglądała jakoś wojowniczo. Musi tam być przynajmniéj sześć ćwiartek wzdłuż i wszerz zapisanych, które trzeba będzie przeczytać, rzekł do siebie ciężko wzdychając. Młode panny lubią skazywać swoje ofiary na podobną pańszczyznę. Złamał pieczątkę. List zawierał tylko trzy wyrazy, i do tego jeszcze bardzo krótkie.

Opactwo Dynely, czwartek 7 sierpnia.

Kochany Eryku!

Kto *ona* jest?

Szczerze życzliwa

Fanny.

Rozdział IX.

Wyznanie.

Wieczorem tego dnia w którym Terencyusz Dennison miał wrócić do Opactwa, lady Dynely czekała na niego, siedząc sama jedna w swoim pokoju przy oknie. Dzień był gorący, duszny, powietrze nie ochłodziło się nawet po zachodzie słońca i było tak ciężkie że trudno nim było oddychać; wszystko zapowiadało że lada chwila wybuchnie burza. Żadna gałązka się nie porusza, żaden listek nie zadrży; najlżejszy powiew wiatru nie ochładza rozpalonego czoła lady Dynely. Twarz jéj zawsze bladawa, wydawała się śmiertelnie bladą przy słabem świetle wieczornem; wsparła głowę na dłoni i drżała ciągle jakby zostawała pod wpływem jakiejś strasznéj obawy.

Czekała na Terrego, i prawdopodobnie była jedyną kobietą która miała lub mogłaby mieć w przeszłości powód drżeć z przerażenia, na myśl że zobaczy go wkrótce. Nie on to jednak budził w niéj ten przestrach, ale tajemnica którą mu odkryć miała, tajemnica już od tak dawna zagrzebana w głębi jéj sumienia, dręcząca i krępująca jéj duszę, niwecząca spokój jéj umysłu, zatruwająca wszystkie chwile jéj życia, przez całe lat szesnaście... która w chwili gdy jéj ją powierzono była tajemnicą złego uczynku i okrucieństwa innéj osoby, ale następnie pokrywała także jéj własną winę.

Lady Dynely była dobrą, sumienną i spełniała ściśle swoje obowiązki względem innych według pojęcia jakie o nich miała. Była wyrozumiałą dla sług, miłosierną dla biednych, kochającą matką, szczerą przyjaciółką. Przez całe życie jednemu tylko człowiekowi wyrządziła krzywdę, a był nim właśnie ten który ją czcił i kochał nad wszystkich w świecie; tym człowiekiem był Terry.

Ale była słabą i niesumienną przez dumę macierzyńską i nieograniczoną miłość dla syna. Ta duma i ta miłość stanęła między nią i obowiązkiem, zamknęła jéj usta i uczyniła ją występną. Źle postąpiła względem Terrego; wyrządziła mu z rozmysłem ciężką krzywdę, i została ukaraną za to ciągłemi wyrzutami sumienia, dręczącemi ją nieustannie, i zatruwającemi jéj życie. Brzemię téj winy było zbyt ciężkie aby je dłużéj dźwigać mogła; dziś wieczorem prawda zostanie wyjawioną, a wtenczas co bądź się stanie, sumienie jéj będzie oswobodzone.

Ale było to ciężkie zadanie i dumne jéj serce czuło całą gorycz i upokorzenie wynikające z takiego wyznania. Nie śmiała myśléć o mężu lękając się aby nie przeklęła go w grobie. Nie śmiała myśléć o synu, ani téż o strasznym jego gniewie i wyrzutach jakiemi ją obsypie skoro dowie się o tem. Zaledwie miała odwagę myśléć o Terrym, o tym szlachetnym, zacnym chłopcu, posiadającym tak prawe

nieocenione serce, który pokładał w niéj nieograniczone zaufanie, i którego przywiązanie i wdzięczność dla niéj były tak szczere i głębokie. Droga obowiązku ze wszech stron najeżona cierniami ale wejść na nią powinna.

„Boże! dodaj mi siły! powtarzała, wznosząc do nieba gorącą modlitwę, bo ten krzyż za ciężki na moje ramiona!

Odgłos dobrze jéj znanych kroków odezwał się na korytarzu pomimo rozciągniętego na nim kobierca. Były to właśnie kroki tego którego oczekiwała. Zapukał do drzwi... Milczała przez chwilę jakby dla nabrania odwagi...

„Proszę wejść... rzekła nakoniec drżącym głosem.

Dennison wszedł. Cofnęła się za firankę; w ciemności nie mógł dostrzedz śmiertelnéj bladości twarz jéj pokrywającéj, a jednak dojrzał w całéj jéj postawie coś takiego co go przeraziło. Zbliżył się i ujął jéj rękę.

„Czy się stało co złego? zapytał niespokojnie. Czy jesteś chorą, milady?...

— Nie, jestem zdrowa, odpowiedziała słabym głosem. Usiądź, Terry, muszę ci dziś opowiedziéć długą historyę. Powinnością moją było powiedziéć ci ją już dawno, ale byłam złą i nikczemną... nie powiedziałam... nie miałam odwagi.

Usiadł na nizkim taboreciku przy jéj nogach, i patrzył na nią z zadumieniem i przestrachem.

— Pokładałeś we mnie nieograniczoną ufność, Terry, byłeś mi wdzięcznym, kochałeś mnie! A! biedny chłopcze, nie wyobrażasz sobie jakim ciężarem była dla mnie ta twoja miłość i wdzięczność; nie warta jestem ani jednéj ani drugiéj; zasługiwałam tylko na twoją pogardę.

— Lady Dynely!

— Prosiłam Boga aby mi dodał siły, ale napróżno. Znałam mój obowiązek względem ciebie, względem nieba i względem własnego sumienia, ale nie chciałam go spełnić. Ukryłam prawdę, otoczyłam się cieniem zbrodniczéj tajemnicy, i krzywdziłam cię ciągle, bezprzestannie.

— Mnie krzywdziłaś! mnie, lady Dynely! zawołał osłupiały. Czy rozumiesz, milady, znaczenie słów swoich.

— O! byłoby to dla mnie szczęściem gdybym nie rozumiała! odrzekła z goryczą. Zdaje ci się to dziwnem, nieprawdopodobnem, Terry; ale zaczekaj dopóki nie powiem ci wszystkiego... Wtenczas całe twoje przywiązanie do mnie zamieni się w pogardę.

— Nigdy!... zawołał z żywością. Cokolwiek mógłbym usłyszyć, nic nie zdoła zmniejszyć mego przywiązania i wdzięczności mojéj dla ciebie milady. Wzrastały one ze mną, i stanowią cząstkę méj istności. Gdybym przestał wierzyć w dobroć twoją, musiałbym zwątpić o wszystkiem co dobre i zacne na ziemi.

— Nie, nie, rzekła głosem zdradzającym głęboką boleść. Zaczekaj dopóki nie wyjawię ci prawdy. Powiedz mi, Terry, czy nigdy nie zadawałeś sobie pytania, dla czego zabrałam cię z wieśniaczéj chaty, dla czego zajęłam się twojem wychowaniem, dla czego łożyłam na twoje utrzymanie?

— Tak, ale tylko niekiedy, odpowiedział trochę zmieszany, bo wierzyłem zawsze temu co mi powiedziano o moim pochodzeniu. Jestem synem dalekiego krewnego lorda Dynely, którego ty, milady, przez dobroć serca wydźwignęłaś z nędzy i obsypałaś dobrodziejstwy. Oto historya mego życia, wszak prawda?...

— O! nie, nie, nie!... było zupełnie inaczéj. Dobroć mego serca! Jakąż to gorzką ironiję zawierają te słowa wychodzące z ust twoich!... Dalekim krewnym mego męża. Terry... ty jesteś jego synem!

— Lady Dynely!

— Tak, Terry, jego synem... jego starszym synem!

— Patrzył na nią w milczeniu. Czy lady Dynely dostała obłąkania? Co ona mu za dziwne opowiada historye? Synem lorda Dynely! W téj chwili twarz Terrego silnym zapłonęła rumieńcem. Synem lorda Dynely!... A matka jego była córką irlandzkiego wieśniaka! Te szczegóły zestawione z sobą wyjaśniały wszystko.

Schwycił się za głowę jak człowiek na któregoby nagle spadło straszne nieszczęście. Mało jest ludzi, nawet między najgorszymi, którzyby nie szanowali mniéj lub więcéj pamięci matki, a dla Terrego pamięć matki, którą wyidealizował sobie, była świętą, pomimo że nigdy o niéj nie mówił, że wspomnienie o niej ukrywał w najgłębszym zakątku swego serca. A teraz powiedziano mu że lord Dynely był jego ojcem!

„Dla czego powiedziałaś mi to, lady Dynely? zapytał z gorzkim wyrzutem.

Położyła rękę na pochylonéj jego głowie.

— To nie było jak ty sądzisz, Terry, odpowiedziała smutnie. Wiem co myślisz... ale mylisz się... Matka twoja była równie prawą małżonką lorda Dynely, jak ja nią jestem, ty zaś jesteś równie prawym syem lorda Dynely jak Eryk, a co więcéj... jesteś jego spadkobiercą!...

Ucieszony tem zapewnieniem nie usłyszał dobrze słów jéj ostatnich.

— Dzięki Bogu! wyszeptał, byłoby to zbyt dla mnie bolesnem. Ale... synem lorda Dynely! O! milady, wybacz mi, ale trudno dać temu wiarę.

— Jest to dziwnem rzeczywiście, ale nie zrozumiałeś mnie jeszcze dobrze; jesteś nie tylko synem lorda Dynely, ale jeszcze jego spadkobiercą.

— Spadkobiercą!... powtórzył jakby odurzony.

— Jesteś trzy lata starszym od Eryka; czy nie zrozumiałeś mnie jeszcze?... Matka twoja była prawą małżonką lorda Dynely, a więc ty nie jesteś Terencyuszem Dennison, lecz wicehrabią Dynely.

Spojrzał na nią z wyrazem przerażenia.

— A czemże będzie Eryk?

— Tak, czem będzie!... odpowiedziała z wyrazem niewysłowionéj boleści, Erykiem Hamilton, młodszym synem, z majątkiem wynoszącym zaledwie połowę tego co dziś wydaje na cygara i bukiety. Ty odziedziczasz wszystkie tytuły i posiadłości; on jest drugim synem i młodszym bratem. Oto tajemnica któréj dowiedziałam się, na moje nieszczęście, szesnaście lat temu, przy śmiertelnem łożu twego ojca, tłómacząca zarazem moją, jak ją nazywasz, wspaniałomyślną szczodrobliwość dla ciebie; tajemnica która zatruła mi życie. Gdybym była więcéj w złem zatwardziałą, byłabym mogła nie wyjawić jej nigdy, ale słabość mego charakteru nie dozwala mi być ani dobrą ani złą zupełnie. Teraz wiesz już wszystko, wiesz że tak ja jak mój syn jesteśmy na twojéj łasce.

Nastało długie, głębokie milczenie. Lady Dynely siedziała sztywna i nieruchoma jak posąg z marmuru, z rękami opuszczonemi na kolana, błędny wzrok utkwiwszy w przestrzeni.

Dennison był najzupełniéj odurzony i osłupiały i wysilał wszystkie siły aby się z tego otrząsnąć. Mimo to w głowie jego panował chaos, nie mógł zebrać myśli. Więc on nie jest Terencyuszem Dennison, ubogim, z miłosierdzia wychowanym krewnym, ale starszym synem i spadkobiercą lorda Dynely, parem Anglii!... Eryk, młodszy brat jego, nie ma najmniejszego prawa do tytułu jaki nosi, do milionów które trwoni. Nigdy jeszcze najsilniejszy nawet umysł, najgłębszy myśliciel nie błąkał się w takim labiryncie nierozwikłanych myśli.

„Opowiedz mi pani wszystko..." oto pierwsze słowa jakie mógł wymówić.

Odetchnęła ciężko przysposabiając się do zadośćuczynienia temu żądaniu. Wszak spełniła już co było najcięższego... gorycz tego zadania równała się prawie goryczy śmierci, a cóż dopiero gdyby wyznanie to trzeba było uczynić komukolwiek innemu... Tajemnica ta dręczyła ją tak długo i jakby kamieniem ciężyła na sumieniu, iż nareszcie wyjawiwszy ją czuła jakąś niewysłowioną ulgę.

„Nie wiele już mam dodać do tego com ci powiedziała, odrzekła. Jakże to straszne dramaty życia często w kilku słowach opowiedziéć się dadzą!... W dzień śmierci lorda Dynely... dziś właśnie skończyło się lat szesnaście od owéj chwili... i dla tego wybrałam tę rocznicę, po raz pierwszy dowiedziałam się tego, i wszelkie okoliczności odnoszące się do tego wydarzenia do ostatniéj życia chwili nie zatrą się w mojéj pamięci.

„Właśnie przyjechał pożegnać się ze mną, kuzyn mój, Gordon Caryll, o którym słyszałeś zapewnie, i opowiedział mi smutne dzieje swoje. Był to śliczny księżycowy wieczór; przechadzaliśmy się nad stawem trzymając się pod ręce i Gordon w krótkich, pełnych goryczy słowach, dał mi poznać dramat w którym tak smutną odegrał rolę. Widzę to wszystko dotąd jakby na obrazie. Blade światło księżyca, długie, czarne rysujące się na nim cienie, staw i czyste wód jego zwierciadło, czuję upajającą woń kwiatów i orzeźwiający wietrzyk wieczorny. Jakbym patrzyła na miejsce w którem Gordon pożegnał się ze mną; biedny, już go nigdy więcéj nie widziałam. Pan Locksley bardzo mi go przypomina, to też tak lubię patrzéć na niego z powodu tego podobieństwa...

Zatrzymała się; straciła wątek opowiadania na wspomnienie o owym kuzynie którego kochała, i z którym dziś właśnie lat szesnaście temu, rozstała się na zawsze.

„Oddalił się, mówiła, a ja pozostałam myśląc o zawodach jakie życie wszystkim nam prawie gotuje, i zastanawiając się nad tem że najczęściéj opuszczamy prostą drogę na któréj znaleźlibyśmy szczęście, a z któréj sprowadza nas miłość lub pycha albo duma. Gordon ożenił się z miłości... ja poszłam za mąż powodowana dumą i żądzą bogactw, i jednaki los czekał nas oboje: straszny, pełen niewysłowionéj goryczy zawód. Nie kochałam wcale lorda Dynely, który był znacznie starszy ode mnie; nie należałam do dziewcząt romansowo-sentymentalnych, a całe uczucie na jakie serce moje zdobyć się mogło, zwróciłam do Gordona Caryll. Spełniałam wiernie wszelkie obowiązki moje jako żona, ale nigdy nie byłam szczęśliwą żoną.

(d. c. n)

Opis do N. 25.

(Dokończenie).

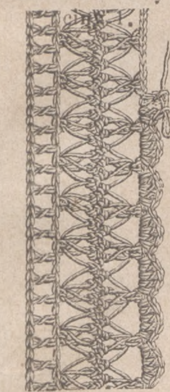
Rycina 38 przedstawia pończochę białą gładką z wyszytemi nad klinikami gałązkami jedwabiem ponsowym, ryc. 40 pończochę czarną wyszytą z przodu ponsowo, a na ryc. 42 widziemy pończochę jedwabną êcru w pasy ażurowe i gładkie, te ostatnie wyszyte jedwabiem niebieskim.



N. 1. Szlak ściegiem łańcuszkowym do firanek ręczników i t. p.



N. 2. Wykonanie łańcuszka do rycina 1.



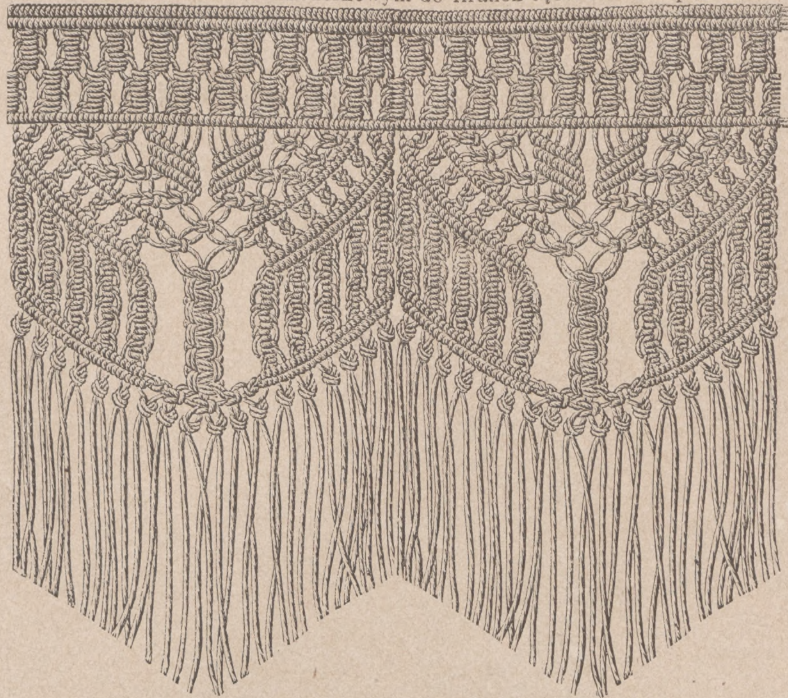
N. 4. Ząbki z torsadki na widełkach odrobionej szydełkiem.

N. 43 Ubranie z tuniką i ze stanikiem z długą baskiną.

Na modelu suknia z cienkiego szafirowego kaszmiru, ubrana była szafirową materyą. Stanik z bardzo długą baskiną, zapinany z boku, miał wypustki, kołnierz szalowy i część z przodu wstawioną z materyi. Tunika miała brycik przedni bardzo wązki ubrany kokardami, 6 cent. dłuższe szerokie boczne kliny z jedwabnemi ranwersami, z tylnego brzegu przymarszczone i zeszyte z brytem tylnym w pukle podpiętym. Spódnica ogarnirowaną falbaną układaną w plisowane fałdy, rozszerzoną do tyłu i naszytą jedwabnemi plisami.

N 44. Ubranie z szalową draperyą.

Suknia z jasno popielatego beżu ozdobiona jest łatwym haftem, robionym ciemniejszym jedwabiem; szlaczek 5 centym. szeroki przystębnowany jest na staniku z długą baskiną. Przód i boczne kliny zdobi draperya ułożona z bryta 94 centym. szerokiego, w górze 75 u dołu 92 długiego, ufałdowanego w sposób wskazany na ryc. 44, w górze ozdobionego haftem 23 cent. szerokim, u dołu 3 razy jedwabiem przestębnowanym. Takież stębnówki zdobią prosty bryt tylny, upięty na spódnicy, oszytej marszoną, haftowaną falbaną 9 cent. szeroką i 13 cent. szeroką płaską wodą, ułożoną w kontrafałdy, z przestębnowanemi nagłówkami.



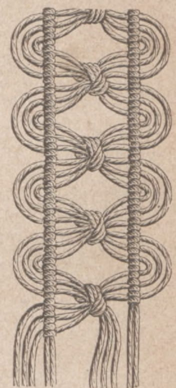
N. 5. Frendzla macramé, robota wiązana.



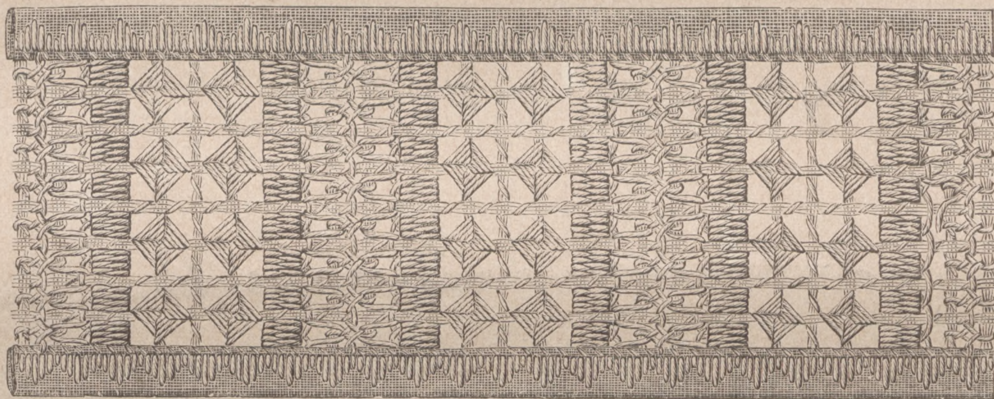
N. 3. Lewa strona wyszycia do r. 1.

N. 45 — 46 i 34. Sukienka z bluzkowym stanikiem dla małej dziewczynki.

Spódniczka mająca 36 cent. długości a 250 szerokości, z przodu założona jest w kontrafałdę, w górze 16, u dołu 22 cent. szeroką, w koło ufałdowana w głębokie fałdy schodzące się w tyle i przyszyta do spodniego, gładkiego kartonowego stanika, na którym z przodu naszyte są kawałki zwierzchniego materyału, zastępujące kamizelkę. Bluzka ma z tyłu 37, z przodu 34 cent. długości, a 9 centym. szerokości, kołnierz marynarski ma z tyłu 22 centym. szerokości a 12



N. 6. Torsadka wiązana do firanki rycina 17 w N. 25.



N. 7. Szlak z kratek ażurowych wyciągniętych w płótnie.

N. 8. Szlak wyszyty ściegiem gobelinowym i luźnym.



N. 9.—18. Ubrania letnie.

N. 9. Suknia z długim stanikiem z materyału gładkiego i w pasy. Patrz ryc. 27 i 39. N. 10. Suknia ozdobiona haftowanemi szlakami. N. 11. Suknia z vêtement. Patrz ryc. 29. N. 12. Suknia z białego batystu. Patrz ryc. 28. N. 13. Suknia z mantylą. N. 14. Suknia z vêtement. N. 15. Suknia przybrana koronką. N. 16. Ubranie dla małej dziewczynki. N. 17. Suknia z czarnej grenadyny. N. 18. Ubranie negliżowe. Rękaw patrz rycina 32 — 33.

wysokości. Bluzka u dołu jest drobno zmarszczona i wszyta w wązki pasek, przypinany do staniczka spodniego. Z boku spuszczona na paskach z materyi 15 centym. długich a 2 i pół szerokich zgrabna kieszonka; szarfa z tego co suknia materyału. Rycina 45 przedstawia sukienkę z szafirowego wełnianego repsu, ubraną rulonikami atłasowemi, podług próbki ryc. 34, a na ryc. 46 widziemy białą kaszmirową sukienkę, ozdobioną haftem krzyżykowym, robionym jedwabiem niebieskim.

N. 47. Sukienka z fałdami dla małych dzieci.

Przód stanika dopasować podług formy princesse, tylko dodać w środku na fałdy przednie po 14 cent., plecy zaś zakłada się w cztery fałdy 4 centym. szerokie i wszywa w karczek zapinany na guziki. Model sukienki odrobiony był z białej dymy i przystrojony szlaczkami 3 cent. szerokiemi, haftowanemi na szafirowym płótnie bawełną ponsową i białą. Kołnierz i mankiety szafirowe, oszyte 1 i pół cent. szerokiemi haftowanemi szlaczkami, które także przystębnowane są wzdłuż przodu przy fałdach.

N. 19. Chusteczka batystowa.

N. 21a. Wykonanie kratki do ryc. 20. W zwiększeniu,

N. 21. Kratka ażurowa i brzeżek do r. 20.

N. 22. Suknia z draperyą a panier. Przód. Patrz r. 23—24.

N. 23. Suknia z draperyą a panier przedstawiona z tyłu. Patrz r. 22 i 24.

N. 25. Spódnica od kostjumu ryc. 26.

N. 27. Wskazanie kroju tuniki do ryc. 9.

N.28. Wskazanie kroju tuniki do r. 11.

N. 30. Tunika do sukni. Patrz ryc. 31.

N. 32. Rękaw do sukien ryc. 9 do 11.

N.29. Wskazanie kroju vêtement do ryc. 11.

N. 24. Wskazanie kroju draperyi do ryc. 22 i 23.

N. 33. Rękaw do sukni ryc. 9—18.

Opis do N. 26.

N. 1 — 3. Szlak ściegiem łańcuszkowym, do firanek, ręczników i t. p.

Każdy deseń na robotę krzyżową daje się i tu zastosować, licząc ściegi podług krzyżyków; każdy ścieg łańcuszkowy zajmuje wzdłuż dwie nitki, jak to widać na rycinie 2. Wyszywając deseń trzeba uważać aby wszystkie ściegi szły w jedną stronę i dla tego trzeba nitkę po skończeniu rzędu przeprowadzić od spodu ażeby łańcuch zawsze zaczynał się od góry; rycina 3 wskazuje lewą stronę roboty, to jest przeprowadzenie nitki do góry, która przerzuca się przez proste ściegi łańcuszka tworzącego z lewej strony stębnówkę. Stosownie do gustu szlak taki może być wyszyty jednym lub kilkoma kolorami.

(*Dok. nast*).

N. 20. Chusteczka fularowa.





N, 34. Suknia ze szlakami.



N. 38. Suknia z vêtement à panier. Patrz ryc. 37.



N. 26. Suknia z kaftanikowym stanikiem i kamizelką.

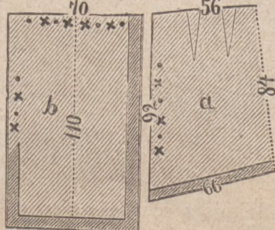


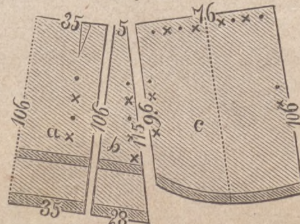
N. 35. Plecy do ryc. 34.

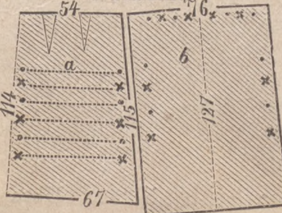


N. 39. Plecy do r. 9.











N. 37. Suknia z vetement á panier. Patrz ryc. 38. Krój podług ryc. 1—2 w N-rze 22.

N. 40. Guzik do sukni.

N. 36. Wskazanie kroju tuniki do ryc. 34.

N. 31. Wskazanie kroju tuniki do r. 30.

N. 42. Wskazanie koju tuniki do ryc. 1 w N-rze 25.

N. 41. Guzik do sukni.

N. 43. Płaszczyk od kurzu. Patrz ryc. 2 w N-rze 25.



Pl. 398.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.